

# Taternik

4

---

1967





## SPIS TREŚCI

|   |     |
|---|-----|
| 60 lat „Taternika” (Redakcja) . . . . .                   | 145 |
| Chocholowska Szczelina 1966 (P. Burchard) . . . . .       | 146 |
| Ku czci Wielkiego Października (G. I. Szalajew) . . . . . | 149 |
| Wielka alpiniada w Pamirze (S. Biel) . . . . .            | 151 |
| Ararat — śladami Chodźki i Noego (M. Popko) . . . . .     | 155 |
| W ścianie Kopy Uanums (E. Temlak) . . . . .               | 157 |
| W Alpach — lato pod Mont Blanc (M. Kozłowski) . . . . .   | 159 |
| Pierwsi na filarze Les Droites (J. Kurczab) . . . . .     | 160 |
| „Directe Nord” Na Dru (A. Paczkowski) . . . . .           | 163 |
| Wielki filar Finsteraarhornu (K. Zdzitowiecki) . . . . .  | 164 |
| Lato 1967 w Tatrach (J. Kurczab) . . . . .                | 167 |
| Dolomity — Cima del Burèl (R. Zawadzki) . . . . .         | 170 |
| W Skalkach jesienią (B. Jankowski) . . . . .              | 172 |
| O Juliuszu Zborowskim (Z. Wójcik) . . . . .               | 173 |
| Nowe drogi w Tatrach . . . . .                            | 175 |
| Taternicy na nartach . . . . .                            | 176 |
| Taternictwo podziemne . . . . .                           | 177 |
| Z życia Klubu Wysokogórskiego . . . . .                   | 178 |
| Tatrzański Park Narodowy . . . . .                        | 180 |
| Wypadki i ratownictwo . . . . .                           | 183 |
| Z piśmiennictwa . . . . .                                 | 185 |
| Notatki, ciekawostki . . . . .                            | 188 |
| W skrócie . . . . .                                       | 189 |
| Curiosum prasowe . . . . .                                | 190 |

Przednia okładka: W zimie na Kazalnicy — wspina się Andrzej Heinrich.

Fot. Eugeniusz Chrobak

Tylna okładka: W skalkach kroczycekich — jesień 1967.

Fot. Małgorzata Apathy

Zdjęcie obok: Cima del Burèl w Dolomitach z drogą zespołu polsko-włoskiego (artykuł s. 170).

Fot. Ryszard Zawadzki

# Taternik

Organ Klubu Wysokogórskiego

Rocznik 43

Warszawa, 1967

nr 4 (197)

## 60 lat „Taternika“

Niewiele jest dziś w Polsce czasopism — rejestry mówią o około dziesięciu — które bez zmiany profilu i tytułu zdołały osiągnąć tak piękny wiek. Niewiele jest też na świecie żywych periodyków alpinistycznych o tak poważnym i niemal nieprzerwanym stażu. Świadczy to z jednej strony o żywotności i słuszności drogi samego „Taternika”, z drugiej zaś strony — o tradycjach i witalności całego ruchu wysokogórskiego w naszym kraju, którego pismo to jest kroniką i odbiciem.

Założone w r. 1907, wychodziło ono stale aż do I wojny światowej. Okres zawieruchy pokwitował zbiorczy zeszyt, wydany w r. 1921. Od-tąd prosperował „Taternik” bez większych zaburzeń aż po rok 1950, prowadzony kolejno przez świetnych fachowców — M. Swierza, S. K. Zarembę, J. A. Szczepańskiego, Z. Dąbrowskiego, T. Orłowskiego i W. H. Paryskiego. Z szczególnym naciskiem należy zwrócić uwagę na brak luki w rocznikach 1940—44, którą wypełniają zeszyty wydawane konspiracyjnie — rzecz bez analogii w całym piśmiennictwie alpinistycznym świata. Po przerwie wywołanej kłopotami organizacyjnymi, „Taternik” ożył w r. 1956 i od tej pory ukazuje się systematycznie, w stale rosnącym nakładzie.

Data przelomową w jego dziejach stał się 22 czerwca 1966 r., kiedy to wydawanie pisma wzięło na siebie wydawnictwo „Prasa Sportowa” RSW „Prasa”, opierając byt „Taternika” na rzetelnych podstawach finansowych i organizacyjnych. Skończyły się — miejmy nadzieję bezpowrotnie — „oszczędnościowe” numery łączone, skończyły się irytujące odbiorców półroczne i roczne opóźnienia, pociągające za sobą chroniczną nieaktualność treści. Mimo przejęcia przez fachowe wydawnictwo, czasopismo pozostało organem Klubu Wysokogórskiego, kierowanym przez taterników i w całości przez taterników tworzonym. Wystarczy popatrzeć na zespół autorów, jaki redakcja wokół siebie skupiła: składa się on niemal w całości — a jest to wśród naszych czasopism sportowych rzecz zupełnie wyjątkowa — z wysokogórców czynnych sportowo, w większości nawet należących do wyczynowej czołówki. I tak, dla przykładu, na 45 autorów piszących w zeszycie 1/1967, około 40 to aktywni w górach taternicy, w tym około 20 — przedstawiciele aktualnej kadry. Zespół ten na dodatek odświeża się nieustannie: każdy zeszyt wprowadza grupę nowych nazwisk — w niniejszym debiutuje 12 autorów tekstów i zdjęć, w poprzednim debiutowało 13, a w numerze 2/1967 — aż 15, w tym 3 cudzoziemców.

W bieżącym roku pismo święci podwójny jubileusz: 60 lat istnienia i 20 lat bytu powojennego, od wskrzeszenia go w r. 1947. Przyszłe lato przyniesie nam dwusetny numer „Taternika”. Do tej też okazji odkładamy obszerniejsze omówienie jego historii, jego problemów, jego zamierzeń na najbliższą przyszłość. W tym roczniku po prostu nie starczyło na to miejsca: zbyt dużo dzieje się w polskim alpinizmie dzisiaj, by można było spokojnie obejrzeć się wstecz...

REDAKCJA

# Chochołowska Szczelina 1966

Przemysław Burchard

W skalnych stokach u stóp pionowej niemal ściany czernieje trójkątny otwór. Tak zaczyna się jedna z największych jaskiń w Tatrach Polskich — Chochołowska Szczelina. O świcie 4 II 1966 r. kilkunastu ludzi zagłębiło się w ową rozpadlinę, dźwigając ciężkie ładunki. Przez cały dzień trwał męczący transport bagaży: łącznie ponad 1,5 tony. Na końcu jaskini założono podziemny obóz. Pozostało w nim 9 osób, które miały odąd przebywać i pracować pod ziemią przez 14 dni.

O cóż chodziło w tej imprezie? Labirynt odkrytych korytarzy jaskini liczył wówczas co prawda łącznie ok. 2000 m długości, ale trudności techniczne są tu raczej niewielkie, a samo przejście nie wymaga zakładania biwaku. Cele wyprawy nie były jednak wyłącznie sportowe.

Chochołowska Szczelina, odkryta w 1938 r. przez dwu uczniów zakopiańskich, następnie w latach pięćdziesiątych eksplorowana przez St. Zwolińskiego i K. Kowalskiego, przez Klub Grotolazów z Krakowa i później przez speleologów z Zakopanego i innych ośrodków, kryła na końcu swego labiryntu dość istotną tajemnicę: główny korytarz kończył się sporą salą — i namuliskiem. Przypuszczano, że za tą przeszkodą znajduje się dalszy ciąg korytarzy. Sprawa była jednak dyskusyjna. Niektórzy speleologowie uważali labirynt Szczeliny za dawny przepływ podziemny Chochołowskiego Potoku, o czym zdawały się świadczyć istniejące w dolnych partiach jaskini aktywne strugi wody. Inni natomiast wysuwali hipotezę, że przed ok. 100 000 lat (między III i IV zlodowaceniem) dnem Doliny Chochołowskiej płynęła rzeka z topniejących lodowców, która natrafiając na nieprzeziętą jeszcze wówczas Wyżnią Bramę Chochołowską, formowała duże jezioro. Pod ciśnieniem część wód tego jeziora odpływała jakoby pod ziemię ku obecnej Dolinie Bobrowieckiej.

Tak czy inaczej rozwiązanie zagadki znajdowało się poza syfonem końcowym. Jeszcze w latach pięćdziesiątych, gdy byłem przewodniczącym Sekcji Tatarnictwa Jaskiniowego w Krakowie, zainicjowałem akcję przekopywania namuliska. Później kontynuowali tę pracę grotolazi zakopiańscy, próby zostały jednak porzucone po przekopaniu sporego odcinka korytarza, gdzie materiał był coraz twardszy, silnie scementowany.

Jesienią 1965 r. wspólnie z zarządem Sekcji Tatarnictwa Jaskiniowego Koła Warszawskiego KW opracowałem program wyprawy, która miała ostatecznie rozwiązać tajemnicę Szczeliny. Aby nie tracić czasu i sił na codzienne marsze do miejsca pracy, zaplanowaliśmy biwak w jaskini; po ewentualnym przebicciu przejścia chcieliśmy także mieć bazę jak najbliższej terenu przyszłej eksploracji.

Mimo dobrego ekwipunku życie w jaskini bynajmniej nie jest łatwe. Ciemność, niska temperatura (4 do 7°C), wysoka radioaktywność powietrza, izolacja od światła, wilgoć i błoto, wreszcie duże wydatkowanie energii podczas ruchu — wszystko to składa się na specyficzną środowiska jaskiniowego i pobytu pod ziemią. Jaki jest tego wpływ na organizm ludzki? Jak reaguje psychika człowieka na tak osobliwe warunki? Na te pytania postanowili odpowiedzieć włącznie w skład wyprawy naukowcy z Warszawy — biolog, dr Józef Kubica, fizjolog, dr Andrzej Rogoziński oraz psycholog, dr Krystyna Galubińska.

Niezwykłość podziemnej scenerii i osobliwość samej akcji zainteresowały realizatora filmów dokumentalnych, Sergiusza Sprudina, który postanowił nakręcić krótkometrażowy film z przebiegu działalności pod ziemią. Tak więc powiększył się wydatnie zarówno skład osobowy ekspedycji, jak i sprzęt — trudności techniczno-organizacyjne, sprzętowe, aprowizacyjne i inne. W obozie podziemnym, założonym w dniu 4 II 1966 r. przebywali bez przerwy pod ziemią przez dwa tygodnie obaj lekarze oraz 6 warszawskich speleologów i alpinistów: Anna Burchard (geolog), Przemysław Burchard (kierownik wyprawy), Zbigniew Jurkowski, Bernard Koisar (geolog), Jerzy Mikuszewski (geolog), Czesław Momatiuk i Waldemar Olech. Ponadto przez 9 dni obozowała pod ziemią ekipa filmowa z Sergiuszem Sprudinem na czele, zaś pod koniec wyprawy przez 3 dni znajdowała się tam również dr K. Galubińska.

Pomocniczą ekipę transportu i łączności stanowiło na zmianę 4 tatarników z warszawskiego Koła KW: Janusz Krzysztoń, Maciej Pogorzelski, Maciej Popko i Andrzej Skłodowski. Na powierzchni pracowało laboratorium medyczno-naukowe pod kierow-

nictwem doktora Juliana Biela, a także pomocnicza ekipa filmowa. Baza powierzchniowa (w schronisku Blaszyńskiego) połączona była z podziemnym obozem linią telefoniczną.

Na program codziennych zajęć składały się badania medyczne, praca w przekopie (a następnie eksploracja), wreszcie czynności związane z realizacją kolejnych scen filmu. Biwakowano w śpiworach bez namiotów, co było jednak kłopotliwe ze względu na intensywne przeciekanie wody przez strop (lutą 1966 r. był wyjątkowo ciepły); trzeba więc było budować daszki improwizowane z folii plastikowej. Gotowano na kuchni gazowej, dbano, by posiłki były urozmaicone, a dzienna wartość kaloryczna przekraczała 4500 kalorii.

Program badań medycznych był bardzo złożony i realizowany przy użyciu najnowocześniejszej aparatury naukowej. Uczestnicy przeszli na długo przed wyprawą tzw. badania wyjściowe, poddani też zostali specjalnym szczepieniom. Każdy z członków grupy podziemnej miał na powierzchni swego „odpowiednika” o podobnej strukturze fizycznej i psychicznej, co pozwalało na porównywanie zmian względem osób przebywających w tym samym czasie w normalnych warunkach.

Całkowita adaptacja grupy podziemnej nastąpiła w zasadzie już w ciągu pierwszych dni. Ogólny stan zdrowia wykazał tendencję wzrostową, rosła także sprawność psychiczna. Nikt z uczestników nie chorował, nikt nie miał nawet kataru. Stwierdzono

także silny wpływ środowiska jaskiniowego na gojenie się ran — szybsze bez opatrunków, niż np. przy zastosowaniu antybiotyków. Tłumaczy się to specyficzną florą bakteryjną jaskini, w której składzie naukowcy wyprawy wyodrębnili przeszło 100 szczepów bakteryjnych, w tym niektóre nie znane dotąd nauce.

Przez cały czas prowadzona była akcja eksploracyjna. Już w pierwszych dniach udało się dokonać przebiccia namuliska, co doprowadziło do odkrycia rozległego systemu nowych korytarzy o łącznej długości 840 metrów; sporządzono dokumentację kartograficzną i skorygowano dawniej wykonane plany znanych odcinków jaskini. W końcowych partiach nowej części odkryto otwór, wyprowadzający na powierzchnię, i to stosunkowo wysoko nad dnem doliny.

Nowo odkryte korytarze obfitują miejscami w szatę naciekową w postaci skorup i draperii kalcytowych, barwnych stalaktytów i bardzo licznych grzybków naciekowych. W wąskich korytarzach występują duże ilości mleka wapiennego. To ostatnie jest galaretowatą substancją o niezbyt dokładnie wyjaśnionej genezie. W dawnych czasach górale podhalańscy wyprawiali się po nie do jaskiń, stosując je w medycynie ludowej jako lek przeciw gruźlicy. Później (być może do dziś), używano wysuszonego „mleka” do leczenia zwierząt, przede wszystkim owiec. Nie wiadomo, w jakim stopniu środek ten był racjonalny; w każdym razie jest on istotnie przyswajalny, choć w niewielkim stopniu. Podczas ostatniej wypra-

W Szczelinie Chocholowskiej. Stoją od lewej: M. Pogorzelski, dr J. Kubica i J. Krzysztoń.

Fot. Przemysław Burchard



wy naukowcy zdołali wykryć w mleku wapiennym nieznanne bakterie (po raz pierwszy zresztą znaleziono bakterie w pożywce wapiennej), nie jest więc wykluczone, że w przyszłości pozwoli to na określenie przydatności tej substancji dla medycyny.

W sensie odkrywczym ogólny rezultat wyprawy przyniósł powodzenie zamierzonej akcji, zaszyfrowanej kryptonimem „Operacja Kret”. Zgodnie z teoretycznymi przewidywaniami, za przekopem znajdował się rozległy labirynt nieznanych korytarzy. Ale zamiast przejść tunelem dawnej rzeki lodowcowej, wyprawa wydoستاła się na powrót do Doliny Chochołowskiej. Tak więc problemu genezy jaskini nie udało się ostatecznie rozwiązać — przeciwnie: zagmatwał on się jeszcze bardziej. Jeśli jaskinia była niegdyś tylko przepływem potoku, dlaczego woda płynęła nie z góry na dół, lecz z dołu do góry, na co wskazuje struktura namuliska? Jeśli zaś prawdziwa byłaby hipoteza „rzeki lodowcowej”, to gdzie znajduje się dalszy ciąg jaskini? W trakcie szczegółowych badań geologowie wykryli ślady potężnego uskoku, który nastąpił przed 20—30 000 lat i przesunął główny korytarz. Ale ten uskok ma zaledwie 30 do 50 cm wysokości, co wyklucza myśl o tym, by dalszy ciąg głównego korytarza znajdował się niżej, pod jego linią. Tak więc problem pochodzenia Szczeliny czeka nadal na rozwiązanie.

Mimo to wyniki wyprawy można śmiało określić jako wielki sukces polskiej speleologii, a rezultaty badań medycznych, biologicznych i psychologicznych mają znaczenie w skali światowej. Po raz pierwszy bowiem ekipa naukowa prowadziła takie badania bezpośrednio w jaskini, i to w sposób bez precedensu kompleksowy. Przez cały czas

trwania wyprawy dokonywano badań klimatu, prowadzono także badania bakteriologiczne wody, powietrza i nacieków kalcytowych. W ten sposób uzyskano charakterystykę środowiska, w którym poddano badaniom i obserwacjom grupę ludzi. Wyniki prac lekarzy mieć będą znaczenie dla medycyny ogólnej, w szczególności zaś dla medycyny pracy i sportu.

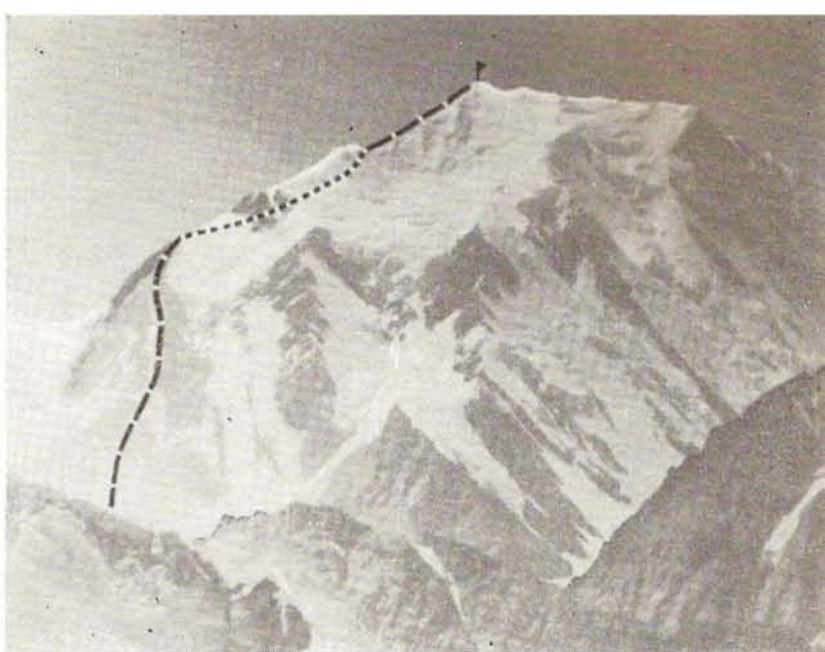
Film nakręcony w trakcie wyprawy przez ekipę Wytwórni Filmów Dokumentalnych z Warszawy pod kierownictwem Sergiusza Sprudina otrzymał tytuł „Jaskinia”. Wraz z całym zestawem filmów polskich został on nagrodzony na festiwalu filmów górskich w Trydencie jesienią 1966 r. Jest to pierwsza w Polsce dokumentalna relacja o działalności speleologów; filmów tego typu, a zwłaszcza tej klasy, zrealizowano dotąd na świecie zaledwie kilka.

Do niewątpliwych pozytywów wyprawy zapisać także trzeba pełną poświęcenia, zdyscyplinowaną pracę zespołu. Przez cały czas akcji nie było wewnątrz kolektywu żadnych konfliktów, mimo, że jednoczył on speleologów, alpinistów, lekarzy i filmowców, a więc grupy o odmiennych zainteresowaniach, w dodatku po części składające się z ludzi nie obeznanym dotąd z trudnymi warunkami pracy i bytowania pod ziemią. Godny podkreślenia jest także fakt, że była to wyprawa wyłącznie warszawska, a więc pierwsza wielka samodzielna impreza stołecznej organizacji taterników jaskiniowych Klubu Wysokogórskiego.

Pionierska pod względem programu naukowo-badawczego, niesłychanie cenna w zakresie doświadczeń organizacyjnych, wyprawa ta wejdzie bez wątpienia do historii polskiej speleologii jako jedna z najbardziej udanych tatrzańskich imprez odkrywczych.

Pik Komunizmu (7495 m) jest najwyższym szczytem ZSRR i wznosi się u połączenia Grzbietu Akademii Nauk z Grzbietem Piotra I. Pierwszego wejścia dokonał w roku 1933 E. Abałakow, drugie wejście miało miejsce w r. 1937, trzecie — nową drogą — w 1955. Do r. 1962 zanotowano 12 skutecznych wypraw i 86 osób na szczycie. W najnowszej literaturze podawana jest dla wierzchołka wysokość 7483 m — podobno wynik ostatnich pomiarów. Na zdjęciu lewe wschodnie żebro z drogą ukraińskiego „Spartaka” z sierpnia 1967 roku. Linia kropkowaną oznaczono odcinek wiodący poza grania.

Fot. Gennadij I. Szalajew



## Ku czci Wielkiego Października

Gennadij I. Szalajew

Kontynuując najlepsze tradycje radzieckich alpinistów wysokościowych, zapoczątkowane wyprawą „Spartaka” pod wodzą zasłużonego mistrza sportu W. M. Abałakowa, zespół alpinistów Ukraińskiej Rady Dobrowolnych Zrzeszeń Sportowych „Spartak”, kierowany przez mistrza sportu A. A. Kustowskiego, uzyskał nowe wybitne osiągnięcia — w rejonie Pika Komunizmu, w czasie działalności rozwiniętej w letnim sezonie jubileuszowego roku 1967.

Pik Komunizmu (7495 m) opada ku dolinie Lodowca Ordżonikidze trzema stromymi grzędami (żebami). Prawą z nich w 1933 roku dokonał pierwszego wejścia na szczyt E. Abałakow, a po utorowanej przez niego drodze i innym alpinistom udało się z powodzeniem atakować ten najwyższy wierzchołek ZSRR w latach 1937 i 1959. Ustaliła się przy tym opinia, że obie pozostałe grzędy nie wchodzą w ogóle w rachubę jako ewentualne drogi wejścia na szczyt.

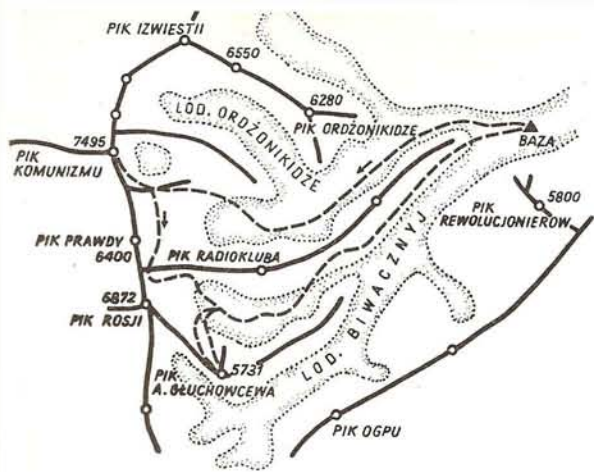
Lewa grań tworzy drogę o charakterze ścianowym — przy średniej stromiznie 75—80° i trudnościach w pasie wysokościowym od 4600 do 6400 m n.p.m. Droga środkową grzędą wygląda również na wspinaczkę ścia-

nową o prawie takiej samej stromiznie, jest jednak znacznie krótsza, mimo że kulminuje w przybliżeniu na wysokości 6100—6200 m. Wielkie trudności i niebezpieczeństwa kryje w sobie podejście pod nią po stromym lodospadzie.

★

Pierwszego przejścia lewej grzędy dokonała grupa w składzie: mistrz sportu A. A. Kustowski jako kierownik, mistrz sportu W. L. Czerewko oraz alpiniści I kategorii — W. W. Kolesnik i P. W. Zajd. Wspinaczka trwała 5 dni. Na całą drogę — od wyjścia z obozu bazowego na szczyt do powrotu do bazy — zużyto w sumie 14 dni. Dwóch dni wymagało samo podejście pod grań, a 4 dni — zejście ze szczytu drogą E. I. Tamma (wyprawa „Buriewiestnika” z sierpnia 1961 roku). Na wierzchołku Pika Komunizmu zespół stanął w dniu 22 sierpnia 1967 r.

W czasie pokonywania grani użyto 80 zwykłych haków skalnych, 10 haków specjalnych oraz 7 haków lodowych. W zasadzie posiłkowano się takim samym wyposażeniem, jak w czasie wejścia na Pik OGPU w 1966 roku („Taternik” 1/1967, s. 5—6), jednakże bez specjalnego obuwia i namiotów



wysokościowych. Godny podkreślenia jest fakt, że W. W. Kolesnik i P. W. Zajd pokonali już uprzednio Pik Komunizmu — w roku 1966 drogą Tamma.

Jeżeli wejście tegoroczne zostanie zakwalifikowane przez Federację Alpinizmu jako zajęcie pierwszego miejsca we współzawodnictwie alpinistycznym ZSRR, to mistrzowie sportu A. A. Kustowski i W. L. Czerewko uzyskają tytuły mistrzów klasy międzynarodowej.

Inni uczestnicy tej pomyślnie przeprowadzonej wyprawy dokonali zgodnie z programem treningowym pierwszego wejścia na szczyt „5731 m”, wznoszący się ponad lodowcami Biwacznyj i Rosja (ten ostatni jest orograficznie lewym dopływem Biwacznego). Szczyt został pokonany jednocześnie przez dwa zespoły, każdy złożony z 4 osób, dwiema różnymi drogami: jedną — północ-

nym filarem z wyjściem na zachodnią grań, drugą — lodowcem między Pikiem Rosja a Pikiem „5731 m” z wejściem na wierzchołek zachodnią grań. Szczyt „5731” nazwano jednomyślnie imieniem Artura Głuchowcewa, wybitnego alpinisty ukraińskiego, który zginął w 1964 roku na Uszbie.

Pięciu uczestników wyprawy dokonało z równi „6200 m” wejścia na Pik Prawda.

Równocześnie z zespołem ukraińskiego „Spartaka” działała w rejonie Pika Komunizmu ekspedycja alpinistów obwodu dnipro-pietrowskiego, pod kierownictwem mistrza sportu A. Zajdlera. Ośmiu uczestników tej wyprawy dokonało wejścia na Pik Komunizmu drogą Tamma, pięciu — wejścia na Pik Rosja wschodnią grań, a wreszcie ośmiu — na Pik Prawda z poprzednio wspomnianej równi.

I wejście alpinistów ukraińskich lewą wschodnią grzędą na Pik Komunizmu zostało poświęcone uczczeniu 50-lecia Wielkiej Październikowej Rewolucji Socjalistycznej. Znakomity to dar!

(Tłum. Czesław Bajer)

Już w trakcie druku niniejszego numeru „Taternika” otrzymaliśmy wiadomość, że w dniu 2 XI 1967 r. Kolegium Sędziowskie Federacji Alpinizmu ZSRR przyznało grupie zdobywców lewego wschodniego żebra Pika Komunizmu pierwsze miejsce roku 1967 w klasie wejść technicznie złożonych. Tym samym A. A. Kustowski i W. L. Czerewko awansują do tytułów mistrzów sportu ZSRR klasy międzynarodowej. (Red.)



Pik Artura Głuchowcewa (5731 m), zdobyty przez grupę ukraińskiego „Spartaka” 7 sierpnia 1967 r. (I wejście).

Fot. Gennadij I. Szalajevo

Flagi ZSRR i Polski oraz proporzec Klubu Wysokogórskiego na Szczycie Lenina. Stoją od lewej: Adam Zyzak, Ryszard Szafirski, Stanisław Biel i Eugeniusz Chrobak.

# Wielka alpinada w Pamirze

Stanisław Biel

Federacja Alpinizmu ZSRR dla uczczenia 50 rocznicy Wielkiej Rewolucji Październikowej zorganizowała w lecie 1967 r. Międzynarodową Alpinadę w Pamirze. Głównym jej celem było wejście na Szczyt Lenina (7134 m), wznoszący się w grzbiecie Zaałajskim. Alpinada trwała od 20 VII do 22 VIII 1967, licząc od chwili wyjazdu i powrotu ekip do punktu zbornego w kirgiskim mieście Osz. Do udziału w alpinadzie zostały zaproszone organizacje alpinistyczne wszystkich Krajów Demokracji Ludowej, a także alpinisci Austrii i Włoch.

Skład polskiej delegacji przedstawiał się następująco: Stanisław Biel (kierownik), Eugeniusz Chrobak, Ryszard Szafirski, Adam Zyzak (wszyscy Klub Wysokogórski) oraz Piotr Młotecki i Andrzej Sobolewski (Polski Klub Górski). W Moskwie za zgodą gospodarzy (Federacja Alpinizmu ZSRR) do naszej grupy włączono również reportera CAF, Zbigniewa Staszyszyna. ZG KW ustalając swój skład stał na stanowisku, że w wyjeździe, poza kierownikiem, uczestniczyć winni alpinisci o dobrym dorobku w górach typu alpejskiego, nie mający jednak stażu wysokościowego. Przy takim ustawieniu udział grupy polskiej w „Alpinadzie Pik Lenina” miał być wykorzystany do sprawdzenia zdolności aklimatyzacyjnych części potencjalnych kandydatów do przyszłych wypraw w góry wysokie.

W alpinadzie uczestniczyły reprezentacje republik radzieckich, delegacje zagraniczne oraz kilka samodzielnych ekip regionalnych



(m. in. litewska i łotewska), które korzystały tylko z naszej bazy. Według danych opublikowanych w Związku Radzieckim, w ramach alpinady Szczyt Lenina osiągnęło przeszło 300 alpinistów, natomiast ogólną liczbę osób, które przewinęły się przez bazę albo działały w powiązaniu z nią, oszacowano na 350. Do skoordynowania działalności tak poważnej imprezy powołano 14-osobowy sztab alpinady, a kierownictwo całości powierzono znanemu alpinistcie i działaczowi, Borysowi Romanowowi (był on gościem Klubu Wysokogórskiego w Tatrach w marcu 1967 r.). Sprawnym 6-osobowym zespołem gospodarczym kierował A. I. Poljakow. Korzystano także z pomocy obozu wojskowego, którego dowódca, pułkownik Racek, wchodził w skład sztabu alpinady.

Baza wyposażona była w obudowane kuchnie (barak) oraz namioty (4 jadalnie, 2 magazyny, punkt medyczny). Pod koniec działała nawet przewoźna łaźnia. Poczta dowożona była przez helikoptery, utrzymujące stałą łączność z bazą, dostarczały jej też ciężarówki docierające okresowo do bazy. Ekipy zagraniczne zarówno w bazie, jak w czasie działalności górskiej korzystały z własnego sprzętu. Wyżywienie w bazie było dobre i obfite, trzy razy dziennie posiłki gotowane — najczęściej ze świeżego mięsa. Prowiant na działalność wysokogórską pobierać było można z magazynu alpinady.

Zgodnie z życzeniami organizatorów, ekipa polska zaopatrzona była we własny sprzęt



Szczyt Lenina od północy. 1 – droga zachodnią grania; 2 – droga wschodnią grania przez Skąły Lipkina (Biel, Młotecki, Sobolewski i Staszyszyn); 3 – droga wschodnią grania przez Pik Kompleksnyj (Chrobak, Szafirski i Zyzak); 4 – wariant prostujący drogę przez Skąły Lipkina.

obozowy i wspinaczkowy. Zabraliśmy z sobą nadto nieco własnej żywności, która pozwoliła w czasie działalności górskiej stosować odpowiadający naszym przyzwyczajeniom sposób odżywiania się i umożliwiła redukcję wagi plecaków tak w okresie zakładania obozów, jak i samego ataku szczytowego.

### Kronika wyjazdu

20 VII 1967 odlot grupy z Warszawy do Moskwy – bez P. Młoteckiego, który odleciał dnia poprzedniego.

21 VII S. Biel i R. Szafirski składają wizyty w Sojuszu Sportywnych Obszczestw SSSR oraz w Federacji Alpinizmu SSSR.

22–23 VII pobyt w Osz. S. Biel i R. Szafirski wchodzą na Tachte-Sulejman.

24 VII około godz. 10 ekipy bułgarska, czechosłowacka, jugosłowiańska, niemiecka, węgierska i polska opuszczają samochodami Osz. W Sarytaszu z szosy pamińskiej skręcamy na drogę idącą poprzez dolinę Alajską. Po przejechaniu ok. 30 km zjeżdżamy nad rzekę Kizyl-Su, gdzie nocujemy przy brodzie.

25 VII przeprawa przez Kizyl-Su. Samochody holuje przez rzekę ciągnik gąsienicowy. Wskutek awarii jednego z samochodów przeładowujemy bagaże. Dalszy szlak do bazy prowadzi bezdrożem, po ciężkim terenie. Przeciężone samochody z trudem pokonują wzniesienia. Pod koniec idziemy na piechotę odciążając wozy. Ok. godz. 14 docieramy do bazy, założonej na wysokości około 3600 m powyżej jeziora Aczik-Tasz.

26–27 VII urządzanie bazy.

28 VII rozpoczynamy pierwsze wejście aklimatyzacyjne (28–30 VII). Wymarsz z bazy około godz. 11. Po jakimś czasie wchodzimy w dolinkę pomiędzy boczną moreną Lodowca Lenina, a odgałęzieniami spadającymi z wierzchołka. Po przejściu przełęczy ok. 4300 m opuszczamy się na Lodowiec Lenina. Pierwszy obóz zakładamy na wysokości 4200 m na łączce u stóp grzędy oddzielającej się od wschodniej grani Szczytu Lenina (zwornik ok. 6400 m).

29 VII. Od obozu I grupa nasza idzie przez „Skąły Lipkina”, a jej kierownikiem jest Roszin. Otrzymujemy zadanie zamykania pochodu, mamy sporo kłopotu z dwójką Węgrów i korespondentem radzieckim. Węgrzy są bez kondveji, a Rosjanin po raz pierwszy w górach. Dopiero odciążenie Węgrów umożliwia przyspieszenie tempa. Obóz II, założony na wysokości 5103 m, osiągamy po południu.

30 VII. Postawiamy 3 rozstawione namioty szturmowe, żywność, benzynę itp. i wraz z całą grupą schodzimy w dół, spotykając na Lodowcu Lenina grupę atakującą szczyt przez punkt Raz-

dielnaja. Nasza ekipa odwiedza bazę glaciologiczną Uzbeckiej Akademii Nauk, postawioną na wysokości 4000 m przed czołem moreny bocznej Lodowca Lenina.

31 VII–1 VIII odpoczynek w bazie. 1 VIII na odprawie kierowników zgłaszamy wraz z Bułgarami chęć wejścia na szczyt którymś z wariantów drogi przez Skąły Lipkina. W grę wchodzi dwa warianty: albo wejście na wschodnią granicę Pików Lenina zębrem skalnym w przedłużeniu Skąły Lipkina, albo przejście przez grzędy wyrastającej nad obozem I z ominięciem Skąły Lipkina i dojście do drogi na wysokości 6200 m przez Pik Kompleksnyj. Z wielu względów bardziej odpowiadała mi druga alternatywa. Zebro ponad Skąłami Lipkina przechodzone było wielokrotnie, natomiast drogę przez Pik Kompleksnyj przebyto po raz pierwszy dopiero przed 2 tygodniami (zespół „Buriewiestnika”). Sztab alpinady wstępnie zaakceptował moje propozycje.

2–3 VIII osiągamy obóz II – śniegiem na lewo od skalnej grzędy; na pewnym odcinku wymaga to rąbania stopni. Do obozu dochodzimy po 3 godzinach, dużo wcześniej, niż reszta grupy.

4 VIII ok. godz. 13 pierwsi Polacy osiągają wysokość 6200 m, gdzie rozbijają obóz III. Stawiamy dwa namioty. Cała grupa odczuwa brak aklimatyzacji. Pogoda psuje się.

5 VIII. Biel, Chrobak, Szafirski i Zyzak schodzą rano do obozu II. Bez śniadania, gdyż w zawiłej nawet w namiocie „Juwel” nie chciał się palić. Po spożyciu śniadania kontynuujemy zejście i ok. godz. 16 osiągamy bazę, gdzie przed wieczorem dociera reszta naszej ekipy.

6–9 VIII odpoczynek w bazie. 9 VIII uzyskuje zgodę kierownictwa alpinady na wejście poprzez Pik Kompleksnyj trójki Chrobak, Szafirski i Zyzak. Lekarz wstrzymuje Staszyszyna, który choruje na przewlekły katar.

10 VIII rozpoczyna się atak szczytowy (10–16 VIII). O godz. 11 wymarsz zespołu Biel, Młotecki i Sobolewski. Zespół nocuje w bazie wysuniętej.

11 VIII. Biel, Młotecki i Sobolewski podchodzą do obozu II. Chrobak, Szafirski i Zyzak osiągają z bazy obóz I.

12 VIII. Pogoda poprawia się. Grupa Jefimowa oraz Biel, Młotecki i Sobolewski osiągają około godz. 14 obóz III. Szafirski, Chrobak i Zyzak przechodzą grzbiet północnej odnogi wschodniej grani (przez Pik Kompleksnyj), docierając około 6 po południu do obozu III. Staszyszyn podchodzi z grupą W. Romanowa do obozu I.

13 VIII. Młotecki, Sobolewski oraz grupa Jefimowa ok. godz. 15 stawiają pierwszy namiot polski w obozie IV na wschodniej grani Szczytu Lenina (ok. 6750 m). Biel, Chrobak, Szafirski i Zyzak dochodzą do obozu IV ok. godz. 18.

14 VIII pomiędzy godz. 12 a 15 Biel, Chrobak, Młotecki, Sobolewski, Szafirski i Zyzak osiągają

wierzchołek Szczytu Lenina (7134 m). Na wierzchołku jest tłoczno. Niezależnie od zespołu Jefimowa i Polaków, dochodzą w tym dniu do celu grupy Bogaczowa, Griszniawa, ekipy czeskosłowacka, jugostowiańska, niemiecka oraz inne mniejsze zespoły. W sumie około 90 osób. Jest nawet „dziki alpinista” — uzbeki glaciolog Rasf Mambefow, który wybrał się na szczyt bez namiotu, maszyny i żywności. Zespół polski (z wyjątkiem Biela, który zostaje u Austriaków) schodzi do obozu IV.

15 VIII Sobolewski i Młotecki wraz z grupą Jefimowa rozpoczynają zejście i ok. godz. 19 docierają do bazy głównej. Biel sprowadza Mambefowa, który jest silnie zdeteriorowany. Od namiotu polskiego na miejscu obozu IV schodzi z Mambefowem cała czwórka KW — Biel, Chrobak, Szafirski i Zyzak. Na wysokości 6400 m następuje spotkanie z podchodzącym Staszyszynem i grupą Roszina. Czwórka polska kontynuuje zejście i pod wieczór doprowadza Uzbeka do namiotu na wysokości ok. 5150 m, przekazując go pod opiekę kolegi. Nocujemy w obozie II.

16 VIII. Początkowo pochmurno. Po południu intensywny opad śniegu, a poniżej 4000 m — deszczu. Biel, Chrobak, Szafirski i Zyzak schodzą do bazy, likwidując obozy II i I. Staszyszyn wchodzi na Szczyt Lenina i wraca do obozu na wysokości 6800 m.

17—19 VIII. Załamanie pogody, ochłodzenie i intensywny opad śniegu. W obozie pakowanie sprzętu.

20 VIII wyjazd samochodami na „kirgiski prątnik”, gdzie spotykamy się z przedstawicielami władz Oszkiego Rejonu Kirgiskiej SSR.

22 VIII wieczorem w Osz bankiet i wręczenie uczestnikom alpinady, którzy osiągnęli szczyt, medali „Pik Lenina”.

23—27 VIII wycieczki krajoznawcze.

28 VIII przelot do Moskwy, skąd 31 VIII przyjazd do Warszawy.

### Przebieg alpinady

Taktyka ataku szczytowego słusznie nie przewidywała założenia stałych obozów pośrednich, z których korzystałyby wszystkie grupy idące daną drogą. Każdy zespół opierał się na postawionych przez siebie namiotach i wyniesionym zaopatrzeniu, co dawało poczucie pewnej samodzielności i niezależności w ramach całej wielkiej maszyny wyprawowej. Tylko materiał ratowniczy i pewna ilość paliwa służyły do użytku ogólnego. W związku z tym cały okres aklimatyzacyjny zespoły wykorzystwały do rozbudowy obozów na wybranej marszrucie.

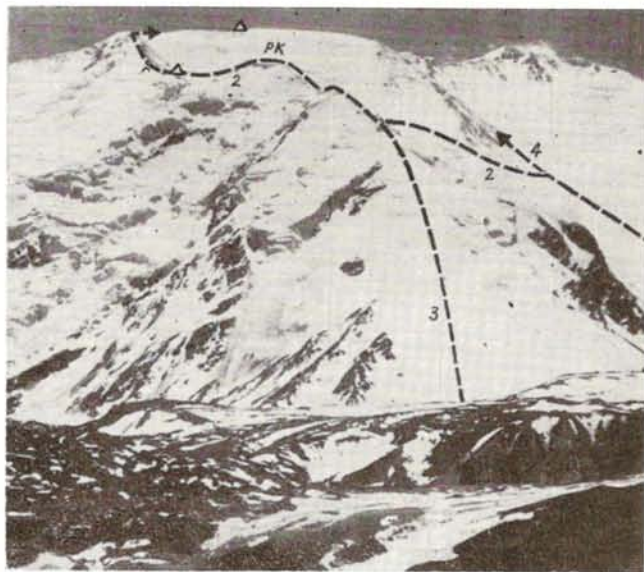
Wejścia na szczyt prowadzono w zasadzie dwiema drogami: wschodnią granią przez Skały Lipkina (10 zespołów) i granią zachodnią poprzez szczyt Razdielnaja (16 zespołów). Wejścia od Przełęcz Krylenki i od południa były udziałem Austriaków, którzy prowadzili działalność samodzielną. Podobnie I i II przejście drogi od północy przez Pik Kompleksnyj — powtarzanej przez zespół Klubu Wysokogórskiego — wykonane zostało przez

alpinistów z „Buriewiestnika”, luźno tylko związanych z alpinadą. Początkowo Polacy mieli iść trasą przez Skały Lipkina, wobec czego zabezpieczaliśmy obozami przede wszystkim tę drogę. Dopiero po drugim wejściu aklimatyzacyjnym uzyskaliśmy zgodę na podział ekipy i wchodziliśmy na Szczyt Lenina dwie drogami w trzech zespołach:

1. Wschodnią granią poprzez Skały Lipkina — S. Biel, P. Młotecki i A. Sobolewski, 10—14 VIII 1967; Z. Staszyszyn — 12—16 VIII 1967.

2. Poprzez Pik Kompleksnyj — E. Chrobak, R. Szafirski i A. Zyzak — 11—14 VIII 1967 (III przejście drogi).

Wyniki naszej ekipy uważam za maksimum tego, co można było w warunkach alpinady osiągnąć. Cała siódemka weszła na wierzchołek, przy czym trójka wariantem, który śmiało może być uważany za osobną drogę i tak zresztą traktowany jest przez gospodarzy. Droga ta poprowadzona grzbietem północnej odnogi oddzielającej się na wysokości ok. 6400 m od wschodniej grani Szczytu Lenina, zrobiona została dopiero w okresie alpinady. Podobnie jak wszystkie trasy prowadzące na szczyt oceniono ją jako V A, wiadomo jednak, że jest trudniejsza od dróg „klasycznych”, wytypowanych dla alpinady. Trzecie z rzędu przejście drogi wiodącej na tak popularny szczyt, to bardzo dużo! Dodatkowym powodem do zadowolenia jest styl, w jakim trójka Chrobak, Szafirski i Zyzak pokonała wariant. Około 2000 metrów różnicy wzniesienia (i do tego po grani ze znacznymi obniżeniami) w ciągu jednego dnia, podczas gdy poprzednie zespoły na odcinek



Pik Lenina od północnego wschodu. Numeracja dróg jak na rysunku. Trójkątami oznaczono obozy polskich zespołów: niżej — II i III, wyżej III i IV.

Fot. Stanisław Biel



Zespół Klubu Wysokogórskiego wchodził na Szczyt Lenina trudniejszym wariantem. Trawers na wysokości ok. 5500 m.

Fot. Ryszard Szafirski

ten potrzebowaly dwa dni! Niestety, wcześniejszy wyjazd z gór (20 a nie 27) udaremnił planowaną na okres po zejściu ze Szczytu Lenina działalność w innym otoczeniu..

Trudno wyniki Polaków odnieść do dorobku innych ekip zagranicznych. Bułgarzy — wybrani z 15 najlepszych i przygotowani 2-tygodniowym treningiem wysokościowym w Kaukazie bezpośrednio przed przyjazdem do Osz, dostali pozwolenie na powtórzenie wariantu prostującego drogę przez Skąły Lipkina. Wariant ten jest nieco trudniejszy od normalnej trasy, niemniej miał już szereg powtórzeń. Pozostałe ekipy (poza austriacką, prowadzącą samodzielną działalność) weszły na szczyt klasycznymi drogami.

Nie wdając się w szczegóły odnośnie przebiegu całej alpinady dodam jeszcze, że według informacji kierownictwa, w okresie jej trwania na Szczyt Lenina weszło 301 alpini-

stów, w tym 7 Austriaków, 6 Bułgarów, 6 Czechosłowaków, 6 Jugosłowian, 5 Niemców, 7 Polaków, 4 Węgrów i 3 Włochów. Obecnie więc ogólna liczba osób, które stanęły na tym siedmiotysięczniku wzrosła do 824. Tymczasem według opracowania F. i K. Kropfów („Pobieżdiennyje Wierszyny” 1961—64, s. 303) do roku 1964 na wszystkich innych siedmio- i ośmiotysięcznych wierzchołkach świata stanęło łącznie tylko 515 alpinistów! Szczyt Lenina jest więc rekordzistą absolutnym, a „Alpinada 1967” była największą w historii alpinizmu i całkowicie udaną próbą masowego wejścia na wierzchołek o takiej wysokości. Próbą — podkreślmy to z naciskiem — przeprowadzoną bez wypadku.

Co dała nam alpinada? Poznaliśmy nowe dla nas góry wysokie — jedne z najwyższych na świecie, u których podnóży w w. XIX wędrował nasz rodak Grabczewski. Kilku Polaków uzyskało możność wydatnego podniesienia własnych rekordów wysokości, włącznie z przekroczeniem magicznej granicy 7000 metrów. W trakcie alpinady zetknęliśmy się po raz pierwszy z radzieckim alpinizmem wysokościowym i poznaliśmy taktykę masowych wejść, wymagających niezwykle sprawnej i precyzyjnej organizacji. Wreszcie — i to jest bodaj najważniejsze — alpinada dała nam sposobność do nawiązania licznych kontaktów osobistych z czołowymi alpinistami radzieckimi, a także reprezentującymi inne kraje demokracji ludowej. Pozostaje nam tylko wyrazić nadzieję, że spotkanie w takim gronie nie będzie ostatnim, że przyjaźń wielu alpinistów bratnich narodów, zawarta na stokach Szczytu Lenina będzie podtrzymywana i umacniana w ramach dalszych imprez tego typu — czy to w górach ZSRR, czy innych zaprzyjaźnionych krajów. Naszym kolegom ze Związku Radzieckiego serdecznie dziękujemy za zaproszenie i za opiekę, jaką nas na każdym kroku otaczali.

# Ararat – śladami Chodźki i Noego

Maciej Popko

Mało jest na świecie gór, których nazwy byłyby wszystkim równie dobrze znane, jak osnuty legendami Ararat<sup>1)</sup>. Tak charakterystyczne dla ludów starożytnego Wschodu opowieści o potopie i arce, która osiadła na stokach tajemniczej góry (w legendach nie zawsze jest nią Ararat), do dziś ekscytują ludzką wyobraźnię. Świadczy o tym m. in. fakt, że co kilka lat dowiadujemy się o kolejnej wyprawie w poszukiwaniu szczątków statku Noego. Warto także wiedzieć, że aktualnie najwyższy szczyt Turcji już od stuleci uchodził za świętą górę Ormian i odegrał niepoślednią rolę w kulturze duchowej ludów Armenii i Zakaukazia.

Ararat (turecka nazwa Büyük Aghry, ormiańska — Masis) to ogromny, całkowicie odizolowany od innych łańcuchów górskich wulkan, przypominający wyglądem stożek o łagodnie nachylonych zboczach. Uformowany w trzeciorzędzie, wydziela dotąd słabe siarkowe opary, a ostatni jego wybuch miał miejsce w 1840 roku. Sam szczyt dzieli się na dwa wierzchołki, z których zachodni liczy 5156 m, a niższy, wschodni 5121 m. Między nimi znajduje się szczątkowy krater o średnicy ok. 500 m, obecnie całkowicie wypełniony lodem. Na południowy wschód od Araratu wznosi się stożkowaty szczyt o nieco smuklejszej sylwetce, tzw. Mały Ararat (turecka nazwa Küçük Aghry), osiągający wysokość 3914 m. Oba szczyty łączy przełęcz Serdarbulak (2688 m) z niewielkim wulkanem Biczare. Aby uświadomić sobie rozmiary całego masywu odnotujmy, że oba szczyty mają w podstawie obwód 130 km i zajmują obszar ok. 970 km<sup>2</sup>!

Czapa lodowa pokrywająca wierzchołki Araratu przypomina wyglądem formacje, jakie spotyka się na najwyższych szczytach Alp (np. Mont Blanc). Występują tam szczeliny, obrywy seraków i nawisy śnieżno-lodowe. Ze szczytu spływa na północny wschód największy z lodowców Araratu, schodzący poniżej rzędnej 2500 m. Strona północna masywu jest nieco silniej zaśnieżona niż południowa, przeciętnie jednak dolna granica śniegów nie przekracza 4000 m. Niżej ciągną się ponure bazaltowe usypiska, na wysokości 3500–3000 m przechodzące w rozległe hale (tur. jajla), zamieszkałe latem przez kurdyjskich koczowników. Woda z topniejących śniegów wsiąka w porowate podłoże i z każdym dniem lata coraz trudniej ją znaleźć. Zbocza Araratu są całkowi-

cie pozbawione drzew, jedynie na przełęczy Serdarbulak spotyka się karłowate brzozy.

Dzieje penetracji biblijnego masywu sięgają XVII wieku. Jednym z pierwszych badaczy europejskich, którzy pojawili się u jego stóp, był francuski botanik Tournefort. Jednakże pierwsze wejście na szczyt nastąpiło dopiero w 1829 roku, a dokonał go Niemiec Friedrich Parrot, profesor filozofii przyrody na rosyjskim uniwersytecie w Dorpacie, w towarzystwie dwóch żołnierzy rosyjskich i trzech Ormian. Jeden z Ormian był diakonem i wszedł na wierzchołek w stroju duchownego... II wejścia na szczyt dokonał w r. 1850 nasz rodak, Józef Chodźko, do którego wrócimy na końcu artykułu.

W drugiej połowie w. XIX wypraw było dosyć dużo. Wkrótce jednak po pierwszej wojnie światowej Ararat, który leżał dotąd na terytorium rosyjskim, znalazł się w granicach Turcji. Wyprawy ustały teraz niemal zupełnie, bowiem wschodnia część Turcji stanowiła aż do r. 1963 strefę niedostępną dla cudzoziemców, a nieliczne ekspedycje alpinistyczne musiały się starać o trudne do uzyskania zezwolenia władz wojskowych. Od kilku lat sytuacja uległa korzystnej zmianie i turyści europejscy mogą znów swobodnie penetrować rejony dawniej zamknięte, a w księgach posterunku policji w Doghubajazyt — punktu wyjściowego na Ararat — notuje się corocznie nazwiska kilkudziesięciu osób, wyruszających w stronę szczytu. Ile z nich osiąga wierzchołek — tego księgi nie podają.

Jest rzeczą dość obojętną, z której strony zaatakuje się szczyt, przyjęło się jednak wchodzić na Ararat dwiema drogami. Jedną z nich wiedzie od północy i wschodu, z miasteczka Yghdyr. Można z niego, jadąc przez wieś Arałyk, osiągnąć jeepem przełęcz i wioskę Serdarbulak (2500 m), a stamtąd w 4–5 godzin (z pomocą juczych koni) dojść do pierwszego obozu na wysokości 3500 m. Drugi obóz leży na wysokości 4300 m i z niego w 5–6 godzin wchodzi się na wierzchołek. Niestety, wejście tą trasą wymaga zezwolenia władz wojskowych, dlatego też zdecydowanie bardziej popularna jest droga od południa, z miasteczka Doghubajazyt, odległego o 36 km od granicy irańskiej. Idzie się z niego ku wschodowi do oddalonej o 7 km wioski Ganikor, a z niej prosto na północ, ku wierzchołkowi Araratu. Biwaki wypadają teoretycznie na wyso-

kości 3200 i 4000 metrów, lecz w praktyce każdy zespół inaczej rozgrywa swoją akcję.

W sierpniu 1967 r. stanęła u stóp Araratu grupa Polaków, w której skład wchodził: Krystyna Popko, Andrzej Kuś, Andrzej Mróz, Maciej Popko i Jerzy Tuszyński. Wystartowaliśmy na sławny szczyt, jak tyłu naszych poprzedników, z posterunku policji w Doghubajazyt — późnym popołudniem 14 sierpnia. Z wynajęcia przewodnika i jucznych koni zrezygnowaliśmy, i to nie tyle z honorowych, co z finansowych względów. Pierwszy biwak wypadł nam w okolicy wsi Ganikor, następny zaś — w gościnnym kurdyjskim namiocie na wysokości ok. 3200 m. Najwyższy obóz założyliśmy w niepogodzie na wysokości ok. 4000 m, skąd 17 sierpnia wcześniej rano ruszyliśmy czwórką (bez Krystyny) na podbój niedalekiego już szczytu. Szliśmy wyraźną grzędą, z początku po usypiskach, a wyżej śnieżnymi polami, aż do zachodniej grani, która doprowadziła nas na zachodni wierzchołek Araratu. Trwało to 3—4 godzin; przebyliśmy w tym czasie ponad 1200 m różnicy wzniesień. Na szczycie znaleźliśmy proporzeczek ÖAV, przyrównany do oblodzonego żelaznego masztu. Wiał silny wiatr, zapowiedź nadciągają-

cej burzy; panorama nie przedstawiała się zbyt wspaniale, gdyż widoczność była ograniczona. Żaden z nas nie odczuwał dolegliwości związanych z brakiem aklimatyzacji. Potem wróciliśmy do obozu i tego samego dnia rozpoczęliśmy ewakuację w dół.

Cała akcja zajęła nam nieco mniej czasu, aniżeli przewidyują oficjalne horaria. Wbrew zaleceniom nie dysponowaliśmy czekaniami ani rakami, okazały się tu one zresztą niepotrzebne. Sporo natomiast kłopotów sprawił nam brak wody w strefie między Ganikorem a pierwszymi zamieszkanymi halami. Każdego dnia podejścia w godzinach południowych mocno dokuczało słońce.

\*

Spróbujmy na koniec ustalić, ilu Polaków weszło dotąd na Ararat? Jak już wspomniałem, autorem II w ogóle wejścia na zachodni (główny), a VI na wschodni wierzchołek był nasz rodak, Józef Chodźko, carski oficer i zasłużony geograf, zesłany w głąb Rosji za udział w przygotowaniach do powstania listopadowego i mianowany tu naczelnikiem wydziału wojskowo-topograficznego. Wyprawę na Ararat poprowadził on od wschodu, z przełęczy Serdarbulak, osiągając wierzchołek 18 VIII, a potem jeszcze kilka razy<sup>2)</sup>. Wiadomo także o mniej udanych polskich próbach wejścia na sławny szczyt. W r. 1889 zaatakował go Ludwik Miłkosiewicz, leśnik i przyrodnik zamieszkały na Kaukazie. Najwyżej weszła wtedy jego córka, Julia, osiągając wysokość około 5000 m (jeden z rekordów polskiego alpinizmu kobiecego!), skąd wyczerpaną sprowadzili w dół kurdyjscy przewodnicy. Tak samo daleko dotarł w r. 1903 prof. Bolesław Hryniewiecki, jednakże i jemu nie udało się stanąć na wierzchołku<sup>3)</sup>.

Tak więc zdobycie szczytu przez nasz 4-osobowy zespół jest dopiero drugim z kolei polskim wejściem na Ararat, dokonanym w 117 lat po Chodźce.

Na wierzchołku Araratu. Z lewej J. Tuszyński, z prawej — A. Kuś.

Fot. Andrzej Mróz



1) Jest to hebrajska forma nazwy „Urartu”, odnoszącej się do grupy państw, które w w. IX—VII p.n.e. leżały na płaskowyżu Armenijskim, a ich ośrodkiem było miasto Tuszpa nad jeziorem Van. Również w tekstach Biblii nazwa „Ararat” odnosi się zawsze do krainy a nie do góry. Dopiero w późniejszych czasach przeniesiono ją na najwyższy wulkan Armenii. W babilońskiej wersji legendy o arce występuje góra Nisir, którą niektórzy autorzy utożsamiają z Elbursem.

2) O wejściach Chodźki „Taternik” pisywał kilka razy — odsyłacze w numerze 2—3, 1947 s. 56.

3) Por. „Taternik” 3—4, 1948 s. 100. W II tomie „W skałach i lodach świata” s. 22 podano mylnie, że Miłkosiewicz wszedł na wierzchołek.

# W ścianie Kopy Uanums

Eugeniusz Temlak

Wstaliśmy za wcześnie i teraz otrząsamy się z zimna, opatuleni kurtkami puchowymi. O czwartej rano słońce nie dociera jeszcze do głębokiego, zacienionego dna doliny Ait Mizan. Krzątamy się nerwowo, rozpalamy nasze „organy”, czyli prymus w akompaniamencie syczących butanówek. Wyczuwa się lekkie podekscytowanie. Już od wczoraj jesteśmy wśród gór, ale dopiero dzisiaj zmierzmy się z nimi oko w oko. Jak wypadnie ta próba? Przygotowani jesteśmy sumiennie. Roczny twardy trening nie może pozostać bez śladu. Dzisiaj z uśmiechem mówimy o zajęciach na sali, po których wychodziliśmy, jak wyjęci z wody. Ciężka 10-kilometrowa trasa leśnego przełazu z wyczerpującymi podbiegami, przezwana pieszczołliwie „golgotą”, trasa pokonywana w różnych wariantach i w różnym tempie, tu wspomniana jest prawie rzewnie. To była tylko przygrywka — prawdziwa zabawa zaczyna się dzisiaj.

Niezlą próbkę tego, co nas czeka, mieliśmy przed dwoma dniami, gdy z 30-kilogramowymi worami na plecach leżliśmy przez 10 godzin w górę niekończącej się doliny Ait Mizan. Ukrop lał się na głowy, a smutną namiastką wiatru było machanie mulich ogonów, w które byliśmy wpatrzeni. Jękliwe zawrodożenie mulników wdzierało się w naszą świadomość równie ostro, jak słońce nierzucające cienia, i jak głód, który nam skręcał trzewia. A jednak była w nas radość: radość wysiłku, zmęczenia i bliskości gór — tych wymarzonych od lat. A do tego świadomość, że jesteśmy jednak dobrzy, że idziemy jak roboty, zdecydowani iść tak choćby w nieskończoność...

Zaczynamy ambitnie. W pierwszym dniu mamy wejść trzema zespołami na najwyższy szczyt Atlasu — Tubkal, i to długimi forsownymi drogami wspinaczkowymi. Ryszard Długołęcki, Witold Rozenthal i Janusz Szczęsny wędzą na przełęcz Tizi n'Uanums (3664 m) i stąd granią przez Turnie Uanums i Tubkal Zachodni (4010 m) osiągną główny wierzchołek Tubkala (4165 m). Jerzy Jagodziński i Andrzej Kozłowski atakują Tubkal

*W dniach od 24 VI do 7 VII 1967 r. bawiła w Wysokim Atlasie II Polska Wyprawa Alpinistyczna, zorganizowana przez Koło Bydgoskie KW („Taternik” 3/1967, s. 140). Zanim omówimy ją na naszych łamach szczegółowo, zamieszczamy reportaż pióra dra E. Temlaka — kierownika wyprawy — z pierwszego dnia działalności w górach.*

wprost od dołu, północno-zachodnim ramieniem. Nam, tj. Janowi Kempieńskiemu i mnie, przypadł kasek najlepszy: droga środkiem wypiętrzony nad bazą zachodniej ściany Kopy Uanums (3970 m — francuska nazwa Tete d'Ouanoums). Ściana wydaje nam się efektowna: opada w dół dużymi eksponowanymi uskokami, jest poprzedzielana pasami płyt i poprzecinana zachodami. Formą przypomina zastygły, stożkowy wodospad. Z olbrzymiego pola szczytowego, długą drogą graniową poprzez Tubkal Zachodni mamy osiągnąć wierzchołek Tubkala. Rendez-vous na Tubkalu, po koncentrycznym ataku — to wyśmienity sprawdzian naszej formy w pierwszym dniu działalności.

Dopiero wołanie kucharza przerywa te rozmyślenia. Meldujemy się z miskami i za chwilę błogie ciepło rozlewa się po żołądku. Na dokładkę chleb z masłem lub dżemem i porcja suszonej kiełbasy. Janek odbiera od Witka zapotrzebowany wczoraj sprzęt wspinaczkowy. Witek — jak zwykle skrupulatny, przelicza karabinki i haki, notuje, sprawdza czy sprzęt zgodny jest z ustalonymi normami. To nie przeszkadza mu tłuc po łapach Janka, który grzebie w bębnach z zapasami. Słońce zaczyna już muskać zachodnie granie doliny. Jest godzina piąta. Przeprowadzam teraz pomiary spoczynkowe tętna i ciśnienia wraz z badaniem ogólnym. Ale na tym nie koniec — trzeba jeszcze nasiusić w zlewkę, by Rysiek mógł oznaczyć poziom białka, chlorków i pH. Jeszcze ostatni rzut oka na worki i sprzęt, jeszcze przelotne spojrzenie na obłożoną w plastik porcję szturmowej żywności i ruszamy.

Obaj z Jankiem podchodzimy stromo w górę doliny, mając po lewej sterczącą nad nami „naszą” ścianę. Widać ją jak na dłoni, omawiamy więc drogę. Musi być prosta, logiczna — a więc poprzez mur stromych skalnych pleców, następnie środkiem depresji i od dużego zachodu w górę przez płytowe uskoki na lewo od zaśnieżonego żlebu. Szybki szkic ściany i trawers dnem doliny. Aby dostać się do podnóży trzeba sforsować głęboki, skalisty kanion Ued Ait Mizan i pas kamiennych rumowisk. Ale oto i „plecy”



Wysoki Atlas. Autor artykułu przed schronem pasterskim w Dolinie Ifni.

chroniące dostępu do ściany. Znajdujemy w nich wyrwę w postaci komina, leżącego w linii naszej drogi.

Wiążemy się i wchodzimy w ścianę. Jej bliskość zaczyna nas rozgrzewać. Pierwszy wyciąg przyjemny, ale trzy następne są raczej proste — zaledwie dość trudne. Droga trochę nas rozczarowuje — przecież wyglądała tak groźnie! Ledwo to zdążyłem pomyśleć, zaczyna się solidna robota. Szósty wyciąg jest już trudny — ścianą na wprost, zacięciem na platformę, a dalej pas płyt. Idziemy na zmianę. Ale twarze już uśmiechnięte, bo skała coraz ciekawsza. Jednak nie sprawiła nam zawodu! Od dziewiątego wyciągu teren staje się już bardzo trudny. Najpierw eksponowana ścianka, dalej dziesięciometrowy pas płyt i szeroki komin. Widzę skupioną gębę Jaśka, porośniętą ryżawą szczecią. Obmacuje skałę i ostrożnie posuwa się w górę. Wygląda na tle nieba, jak rozkraczony krab. Jest nam już dobrze ciepło, choć cała ściana tkwi jeszcze w głębokim cieniu.

Skrupulatnie zapisuję wyciągi i prowadzę szkic drogi. Dwunasty wyciąg zaskakuje mnie pięknym, nadzwyczajnym trudnym zacięciem. Ho, ho — takich miejsc nie powstydziłyby się nasze tatrzańskie ściany. Janek młaska z zachwytem, zadzierając ku mnie głowę. Od tego miejsca kończą się żarty, a zaczynają jedностajne duże trudności przezywane wąskimi, piarzystymi zachodami. Poderwane pasy płyt mają nieraz charakter cyrków skalnych i trzeba się dobrze nagłowić, aby znaleźć w nich wyrwę. Wspinamy się już piątą godzinę — teren i wysokość robią swoje. Zaczynamy odczuwać zmęczenie. A tu na domiar złego zalewa nas słoń-

ce. Prosto na głowy, ostre, nekające. Ściana wydaje się nie mieć końca. Każdy uskok ludzi bliskością wierzchołka — po to, by z niego dostrzec następne. Ściana rozczłonkuje się w górze w oddzielne baszty. Idziemy nieco wolniej ale w równym tempie. Po chwilowym zmęczeniu znowu czujemy się świetnie i nie odczuwamy sensacji wysokościowych. Janek prze naprzd niczym zołg. Jeszcze kilka efektownych filarek i znowu płytowe uskoki. Skała nie najgorsza — trzyma. Dwudziesty pierwszy wyciąg wydaje się końcem trudności. Dwa następne wyglądają znacznie prościej ale tylko pozornie, bo na okrasę mają kilka trudnych progów skalnych. Teren jednak zaczyna się kłaść i wyprowadza nas na olbrzymie podszczytowe rumowisko. Tu już nie uciekniesz słońcu — ma cię jak na patelni. Wprawdzie tropikalne płócienne haiki chronią głowy i karki przed żarem promieni, ale i tak włożą nam one za skórę. O godzinie 15, po sześciu godzinach wspinaczki, stajemy na szczycie.

Uściski — i spojrzenie wkoło. Widok zgola nie zachęcający. Daleko przed nami uskok Tubkala Zachodniego a za nim na horyzoncie sam Tubkal — nasz dzisiejszy cel. Opadają nam ręce: dojscie tam wydaje się nieprawdopodobieństwem. To nie tatrzańskie wymiary. Po nauce jaką otrzymaliśmy w ścianie, cel wydaje się nierealnie daleki. Zujemy w milczeniu kielbasę, żli na siebie i na góry. A więc trzeba będzie zrezygnować z Tubkala — jest już za późno! Ale w miarę jedzenia dojrzwa w nas bunt. Mamy nie wykonać zadania? — nie! Bez słowa podrywamy się na nogi i zaczynamy uporczywy wyciąg z czasem.

Zbiegamy na przełęcz pod Tubkałem Zachodnim, skąd wiedzie trawers jego zboczami. Ale żyłka sportowa bierze w nas górę — zmieniamy więc kierunek i pniemy się na szczyt. Nie wejść na ten czterotysięcznik — to byłby grzech. A potem długie zejście na przełęcz Tizi n'Tubkal (3971 m) i jeszcze dłuższe uciążliwe podejście pod najwyższy szczyt Atlasu, pokryty białą, lśniąca czapą śniegu. Nasze dwa zespoły już schodzą w dół. W nagrodę za wysiłek — południowa ściana Tubkala w pełnej słonecznej scenerii. Zdjęcia, kolor — pozujemy przodem, tyłem i na rękach, jak pawiany. O 18 stajemy na szczycie.

W blaskach zachodzącego słońca kładzie się u naszych stóp Wysoki Atlas. Olbrzymia skalna panorama obramowana od południowego wschodu pustynnym płaskowyżem Sirua. Za nim już piaski Sahary. Wchłaniamy te obrazy, a słońce już chyli się ku zachodowi. Wreszcie rozśadek bierze górę i za-

czynamy forsowne zejście w dół południowego kotła. O godz. 21 w sprinterskim tempie zbiegamy w dolinę Ait Mizan i po chwili jesteśmy w bazie. Czekają nas ciepła kolacja i ciepłe słowa. Panuje ogólna radość. Nasz szybki atak w pierwszym dniu powiodł się w pełni: siedmiu z nas było na Tubkalu, i to z bagażem ładnych dróg wspi-

naczkowych. Nasza droga — nie robiona przez Polaków — poprowadzona jest śmiało, środkiem trudności i chyba w tym rozwiązaniu nie była przechodzona w ogóle. Ale co najważniejsze — nastroje idą w górę. Chłopcy są w świetnej formie, a diabeł nie taki straszny, jak się zdawało. Jutro spotkamy się z nim znowu.

## W Alpach

### Lato pod Mont Blanc

W Chamonix, jak w i całej Europie, lato 1967 było „sezonem stulecia” — wyjątkowym i pod względem pogody, i osiągniętych wyników. Najlepszym tego dowodem może być fakt, że nie wzięto nawet w ewidencję wszystkich przejść Filara Walkera — drogi, która rzadko miewała więcej niż dwa lub trzy powtórzenia w ciągu całego lata. Pod zachodnią ścianą Petit Dru, pod Filarem Bonattiego, pod Grand Capucin — drogami bądź co bądź dużej klasy — tworzyły się kolejki, jak w Tatrach pod Zamarłą Turnią. Większość przejść robiona była w czasach przyzwoitych wiele było rekordowych. Tu wyjątkową klasę pokazali Rosjanie, M. Hergiani i W. Oniszczenko, którzy przeszli Filar Walkera w 12 godzin, w dodatku z pięknym prostującym drogę wariantem (21 VII).

Największym jednak wydarzeniem lata w konkurencji powtórzeń było przejście przez Anglików M. Boysena i Eastcourta otoczony nimbem wycofań wielu już sław — amerykańskiej drogi na południowej ścianie Aiguille du Fou. Było to pierwsze powtórzenie jednej z serii „kalifornijskich” wspinaczek w Alpach, komentowane tym głośniej, że kluczowy odcinek hakowy przebytej został tym razem klasycznie! Padł mit, że bez amerykańskiego sprzętu nie się na tych drogach nie zwojuje — direttissima zachodniej ściany Petit Dru nie będzie już teraz chyba zbyt długo czekała na powtórzenie. Warto, aby o tym pamiętali ci, którzy latem 1968 będą nas reprezentowali w Chamonix...

Wyczyn Anglików przyćmił inne, nie mniej piękne osiągnięcia. Austriacy P. Habeler i M. Meier przeszli w półtora dnia (17 godzin) Filar Fréney, a po dwu dniach, w jeszcze lepszym czasie (15 godzin) — Wielki Filar Narožny (III przejście). Trzeba dodać, że wszystkie cytowane tu dotychczas drogi po-

konane zostały przez stażystów ENSA, gdzie w tym roku zebrała się stawka rzeczywiście doborowa.

Francuzi natomiast startowali przede wszystkim w trudnej konkurencji pierwszych wejść. W dokładniej, wydawałoby się, wyeksploatowanym masywie znaleziono tego roku kilkanaście problemów, z czego co najmniej trzy, to drogi w wielkim stylu. Pokonano więc przede wszystkim rozreklamowaną przez „Alpinismus” direttissimę północnej ściany Aiguille de Triolet (M. Marchal w zespole francusko-szwajcarskim). Anglicy z Aiguille du Fou poprowadzili nową ładną drogę na zachodniej ścianie Pic Sans Nom, szczyt to wprawdzie niezbyt wysoki, ale ściana piękna i bardzo trudna (droga VI, H4). O naszym wschodnim filarze Les Droites pisze w swoim artykule Janusz Kurczab. Prócz tego nowych rozwiązań jest jeszcze kilkanaście. Niektóre niezbyt poważne, jak choćby zrobiona przez samego Rébuffata grań Aiguille du Peigne (2 godziny), inne rzeczywiście piękne, choć niezbyt długie, jak np. rozwiązanie zachodniej ściany Aiguille du Moine (Rene Desmaison z klientem). O wszystkich jednak problemach pisało się i mówiło dużo, one bowiem wzbudzają obecnie w Alpach największe zainteresowanie.

I jeszcze jedna konkurencja: przejścia samotne. Podjęto dwie tego rodzaju próby na Filarze Walkera — obie załamały się pod rynną Rébuffata. Kiedy po zejściu G. Hemminga napisano w prasie, że odwrót nastąpił z powodu złych warunków, zdementował on sam tę wiadomość oświadczając, że wycofał się, gdyż po prostu nie stać go jeszcze na samotne przejście drogi tej klasy. Ciekawe, ilu alpinistów stać by było na tego rodzaju sprostowanie.

**Maciej Kozłowski**

# Pierwsi na filarze Les Droites

Janusz Kurczab

Les Droites mają już swoją polską historię: dwa letnie przejścia filara centralnego (w sezonie 1967 — trzecie), w tym jedno z nowym dużym wariantem, I przejście zimowe tego filara, należące po dziś dzień do najlepszych osiągnięć alpinizmu zimowego w rejonie Mont Blanc. Mówi się: Droites — to polska góra.

Oglądając zdjęcia Les Droites, już parę lat temu zwróciłem uwagę na nie zdobyty dotąd filar ograniczający z lewej strony wąską północno-wschodnią ścianę. W r. 1965 zobaczyłem go na własne oczy. Nie zachecał wtedy do ataku: kuluarem z prawej strony spadały lawiny — jedno z największych, jakie oglądałem w całym północnym murze Argentière, jednocześnie jedyną możliwością „ugryzienia” dolnej części wydawał się ów właśnie kuluar. W lipcu 1967 r. przyjechaliśmy z Maciejem Kozłowskim do Chamonix, wyznaczeni przez ZG KW do udziału w zgrupowaniu w ENSA. Po przejściu północnej ściany Grands Charmoz i wschodniej Grand Capucin, byliśmy już w dobrej formie wspinaczkowej. Pomyśleliśmy więc o problemie na Les Droites, jednak chcieliśmy zostawić go na koniec pobytu, a najpierw spróbować szczęścia na Filarze Walkera.

★

19 lipca, jeszcze nie zupełnie wypoczęci po Grand Capucin, szybko podchodzimy do schroniska Leschaux. Ze starej, na pół zrujnowanej budy nie ma ani śladu. Na jej miejscu stoi estetyczne duralowe schronisko, świetnie wyposażone. Startujemy z niego około godz. 3 w nocy. Z nami idzie dwójka Francuzów. Trochę błędzimy na potraśkanym lodowcu i dopiero po szóstej przekraczamy szczelinę brzeżną. Odtąd wszystko idzie gładko i szybko zostawiamy za sobą zespół francuski. Po jakimś czasie spostrzegamy go znowu na lodowcu — zrezygnowali. Około godziny 10 pod 30-metrowym zacięciem przyhamowuje nas dwójka Hiszpanów. Okazuje się, że są już po biwaku w ścianie(!) — trzeba poczekać. Wtedy właśnie spostrzegamy, że w pogodzie coś się psuje. Nad Igłami Chamonix i nad Aiguille Verte wiszą szare czapy chmur, pogrzmięwa i zaczyna sypać krupą śnieżną. Nie mamy szczęścia: po 10 dniach „bezbłędnej” pogody — właśnie teraz, na wymarżonym filarze Walkera... Po przerwie przychodzi następna burza. W tym czasie drugi z Hiszpanów zdołał już wyjść

ponad zacięcie. „Co zamierzacie robić?” — pytamy. „Zastanowimy się” — odpowiadają. Są ponad najtrudniejszym miejscem drogi, ale ich wolne tempo nie wróży nic dobrego... Decydujemy się więc zjechać. Nic nie wskazuje na to, że pogoda się poprawi. Następuje szereg mokrych zjazdów i trawersów w lodzie — o tyle nieprzyjemnych, że Maciek ma złamany rak i musi iść bardzo ostrożnie. Dopiero koło godz. 19 docieramy do schroniska, skąd po noclegu wracamy do ENSA.

Teraz na pogodę trzeba będzie czekać, mamy więc czas na dyskusję. Maciek nie chciałby drugi raz wchodzić w Walkera. Przyznaję mu trochę racji, jednak obstaję za ponowieniem próby. W końcu decyduje pieniążek: orzeł — reszka. A więc — Les Droites!

24 lipca wybieramy sprzęt, pakujemy znakomitą żywność szturmową, wydawaną w ENSA, czynimy ostatnie gorączkowe przygotowania. W głowie kołacze mi się jedna tylko myśl: jaki okaże się w tym roku dolny kuluar? Maciek nie ma tego problemu — on jeszcze nie widział naszego filara. Błogosławiąc dobrodziejstwa „Ecole”, wyjeżdżamy darmo kolejką na Aiguille des Grands Montets (3297 m). To marnotrawstwo wysokości, ale o ileż wygodniej zbiec 600 metrów na lodowiec Argentière, niż dźwigać ciężkie plecaki z pośredniej stacji Lognan (ok. 2000 m)! W schronisku panuje atmosfera raczej turystyczna. Wzbudzamy niemałą sensację, gdy wyjawiamy nasz cel. Sympatyczna kierowniczką obiecuje obudzić nas o 2 w nocy. Jest 3, gdy schodzimy na lodowiec. Jeszcze czuję w ustach smak snu, a już zaczyna się mżolne podejście. Trzeba sforsować pocięte szczelinami stoki śnieżne prowadzące pod filar. Pogoda jest bardzo niepewna. Mgły włożą się nisko i wieje ciepły wietrzyk, jednak po doświadczeniu na Walkerze jesteśmy już większymi optymistami. Ostatni stożek lawinowy i stajemy nad szczeliną brzeżną. Jesteśmy związani i gotowi do wspinaczki, kiedy rozpoczyna się burza. Niemal równocześnie z pierwszymi płatkami śniegu rynną lawinową spadają na nas bryły lodu — wałą w kaski, plecaki, ramiona. Ratujemy się paniczną ucieczką. A więc i tym razem się nie udało! Gdy schodzimy niżej, śnieg zmienia się w deszcz i tak będzie cały niemal dzień. Wracamy więc do Lognan, a potem znów do ENSA.

Następnego dnia — 26 lipca — służba meteorologiczna wróży poprawę pogody, wobec

czego powtarzamy naszą drogę do schroniska Argentière. Zastajemy tu kombinowany zespół alpinistów angielskich, francuskich i szwajcarskich, zamierzający poprowadzić direttissime północnej ściany Aiguille de Triolet. Okazuje się, że dwaj z nich, to Marchal i Schneider — partnerzy E. Chrobaka z Filara Bocalattego na Mont Blanc du Tacul („Taternik” 2/1967, s. 57—58). Anglicy nużą „Sunny Afternoon”, jest wesoło i nikt nie okazuje zdenerwowania przed tak poważnymi przedsięwzięciami. Nad ranem jednak nie jestem w stanie przełknąć ani kęsa pożywienia — czyżby mimo wszystko nerwy?

Wyruszymy. Znając już drogę, przez szczelinę przechodzimy teraz szybciej, i równo ze świtem stajemy pod szczeliną brzezną. Poziomy trawers w przyklejonym do górnej „wargi” śniegu doprowadza nas do miejsca, gdzie przewieszka jest najmniejsza. Z pomocą ławeczek, zawieszonych na wbitych w śnieg czekanach dostajemy się do kuluaru. Ma on formę „Y”. Lewe, patrząc od dołu, odgałęzienie — to niemal pionowy lód spływający skalnymi płytami; prawe — pionowy komin, którym leje się strumień wody. Tędy nie przejdziemy. Jedyną możliwość obiecują skały na prawo od kominu. Już pierwszy wyciąg jest nadzwyczaj trudny i na dużym odcinku trzeba iść podciąganiem. Wyżej trudności są nieco mniejsze, ale oto znów delikatny trawers po płycie zatrzymuje nas dłużej. Dostajemy się do górnej, mniej stromej części kominu, który wyżej rozszerza się w lodowy kuluar. Nie jest wcale łatwiej, gdyż w twardym lodzie musimy rąbać stopnie. W pewnym momencie znajduję się w środku kuluaru na malutkim występie skalnym i wołam do Maćka, że może likwidować stanowisko. Mam chwilę czasu i przypadkowo spoglądam w górę — w samą porę, bowiem w tym momencie z ostrza filara wychyla się i odrywa blok skalny o kubaturze kilku metrów. Przywiązany do haków, nie mam żadnej możliwości ucieczki. Blok uderza w skały i widzę teraz chmurę kamieni niby stado pikujących czarnych ptaków. Kulę się pod kaskiem, dokoła mnie rozpetuje się istne piekło. Czuję uderzenie w kask, jakiś rykoszet trafia mnie w bok, potem się wszystko ucisza. „Janusz, żyjesz?” — woła z dołu Maciek. Długo nie mogę wymówić słowa. Wydawało się, że nie miałem szans, byłem przecież w samym środku kuluaru! Tymczasem lawina straciła Maćkowi czekan wbity w lód, a mój umieszczony podobnie ocalał.

Po ochłonięciu ruszamy dalej. Na szczęście zagrożony odcinek już nie jest długi. Wyciąg trawersu w bardzo stromym lodzie

i niezbyt trudne skałki wyprowadzają nas na ostrze filara. Nad lodowcem przelatuje helikopter. Leci w kierunku Triolet, zawraca, ląduje przy schronisku i ponownie kieruje się ku szczytowi. Jak się potem dowiemy, kamień zламаł rękę jednemu z Anglików, atakujących direttissime i cała grupa musiała się wycofać\*).

Nasz filar przedstawia się teraz dość przystępnie. Niepokój budzi jedynie płytowe

\*) Direktissime północnej ściany Aiguille de Triolet (3870 m) przeszedł zespół M. Marchal, C. Jager, H. Bächli i H. Horisberger w dniach 7-8 VIII 1967. Jest to również jedno z lepszych osiągnięć minionego lata w Alpach. (Red).



Filar Les Droites — ostatni uskok pod szczytem. Wspina się J. Kurczab. Za lodowym kuluarem skały filara centralnego.

Fot. Maciej Kozłowski

spiętrzenie wznoszące się nad nami, no i pionowy uskok podszczytowy. Z lękiem też spoglądamy na ogromną barierę seraków pod przełęczą Col des Droites, z której obrywy, jak mówił nam André Contamine, potrafią czasem przelcieć na przeciwną stronę filara. Ciężkie warunki w kuluarze spowodowały opóźnienie i nie uda nam się dziś dotrzeć na wysokość przełęczy. Musimy się jednak śpieszyć, żeby do maksimum wykorzystać dobrą pogodę. Płyty puszczają względnie łatwo — tylko dwa czy trzy miejsca wykazują trudności w stopniu V. Skała jest piękna, mocna — typowy alpejski gruboziarnisty granit. Dzięki czarodziejskiej sile tarcia, przechodzi się po nim czasem nieprawdopodobnie gładziny. Jeszcze kilka łatwiejszych wyciągów w wyścigu z ciemnością i biwak. Jesteśmy na wygodnej platformie, którą oczyszczamy z bloków. Otulamy się szczerlnie w puchy i wchodzimy do płachty. Maciek ma „nogę słonia”, ja dla odmiany — kurtkę puchową. Cóż, są różne gusta w sposobie marznienia... Chwyta solidny mróz, naprawdę trzaskający: słyszymy to od strony seraków, które w świetle księżycowym wyglądają niby ogromna draperia w pałacu Królowej Śniegu.

Nad ranem dotkliwie zimno szybko stawia nas na nogi. Nie czekając na słońce ruszamy dalej ostrzem filara i w pięknej, urozmaiconej wspinaczce docieramy do seraków. Rację miał Contamine: odległość bariery od ostrza nie przekracza w tym miejscu kilku metrów. Przy skośnym położeniu całego filara wystarczy to, aby lód spadał na jego lewą stronę. Głęboka szczelina lodowa nie pozwala nam obejść następnego spiętrzenia. Trzeba wtrawersować w trudne płyty. Znajdujemy się teraz w ogromnej ekspozycji ponad zagłębieniem północno-wschodniej ściany. Tędy, szerokim kuluarem lodowym, wiedzie droga Lagarde'a, jak mówią — bezpieczna tylko w nocy. Żłobiącymi kuluar rynnami lawinowymi co chwilę ruszają masy ciężkiego, mokrego śniegu.

Ponad płytowym progiem nasz filar rozplaszca się, jakby odpoczywał przed ostatnim — najsmielszym uskokiem. Od strony Col des Droites podchodzą tu strome śnieżno-lodowe stoki. Nietrudny, ale nieprzyjemny jest dla nas ten odcinek drogi. Mamy już tylko mój czekan, idę więc pierwszy, bez żadnej asekuracji. Czuję znaczne osłabienie — z pewnością z głodu, bo od przedwczorajszej kolacji nic prawie nie jadłem. Powoli docieramy pod końcowy uskok filara. Jest właśnie południe. Wzrok ślizga się po żółtych przewieszkach. Puścić może tylko po prawej stronie kantu, nad północno-wschodnią ścianą, teraz dla nas niewidoczną. Tak czy inaczej, na tych stu końcowych metrach czeka nas ciężka robota, która zajmie naj-

mniej z 5 godzin, a przecież potem jest jeszcze długa grań na szczyt, no i niełatwe zejście. A tymczasem jako czas powrotu podaliśmy w ENSA godzinę 17, gdyż o 18 ma się zacząć uroczyste zakończenie naszego zgrupowania. Ponieważ zejście z tego miejsca na Col des Droites (3733 m) przedstawia trudności — proponuję Maćkowi wycofanie się i ukończenie drogi za kilka dni. Maciek oponuje, ale potem się zgadza. Zaspokoiwszy pragnienie płynącą po skałach wodą, ruszamy w dół i o 15-tej osiągamy schronisko Couvercle. Telefonicznie zawiadamiamy ENSA, że spóźnimy się około pół godziny. Gdy tam wreszcie docieramy, jest akuratnie tyle czasu, aby się umyć, przebrać i zejść na dół na uroczystość. Wszyscy składają nam gratulacje. Tłumaczymy, że droga jeszcze nie skończona, wiemy jednak, że praktycznie biorąc, już ją mamy w kieszeni. Wtrawersowanie na filar nie jest trudne, a końcowe 100 metrów zmęczymy choćby i po 2 dniach „ślusarskiej roboty”. Na stołach stoją talerze pełne różnych wspaniałości, strzelają korki szampana... Z satysfakcją słuchamy słów dyrektora ENSA, Jeana Franco, dziękującego „zespołom”, które — jak mówi — zdobyły się nawet na przerwanie wspinaczki, aby zdążyć na ceremonię zakończenia Zgrupowania.

Zła pogoda przytrzymuje nas kilka dni i dopiero 2 sierpnia wyruszamy, tym razem już z campingu w Taconnaz. Droga do schroniska Couvercle to typowa ścieżka alpejska, wymagająca od turystów umiejętności chodzenia po pionowych drabinach i klamrach, a także niewrażliwości na ekspozycję. Nagrodą za to jest panorama, którą uważam za najpiękniejszą w całym masywie Mont Blanc: Verte, Droites, imponujący mur Grandes Jorasses, Mont Blanc, wreszcie dziko poszarpany łańcuch Igieł Chamonix. W schronisku budzimy się o pół do trzeciej — w całym wnętrzu panuje ruch, jak za dnia. Zespoły rozchodzą się kolejno w najrozmaitszych kierunkach, na lodowcach błyskają światelka pod Moine, Verte, Triolet. Śnieg w kuluarze z Col des Droites zastajemy pięknie zmrożony i w niedługim czasie docieramy do punktu, skąd wycofaliśmy się w dniu 28 lipca. Wschodzi właśnie słońce. Widoczność jest znakomita — rozpoznajemy Alpy Delfinackie, Gran Paradiso, Monte Rosa a nawet odległy Berner Oberland. Wchodzimy w uskok filara przygotowaniu na ciężką pracę wbijania i wybijania dziesiątków haków. Tymczasem — o dziwo — w pionowych skałach wyciąg za wyciągiem udaje nam się iść klasycznie, i to nawet bez skrajnych trudności. Nic się nie zmienia aż do grani wierzchołkowej. Jesteśmy z tego zadowoleni, gdyż z jednej strony oznacza to oszczędzenie na czasie, z drugiej zaś — logicznie uzasadnia nasze rozwiązanie górnej

części filara. Grań nie przedstawia wielkich trudności, jednak jest długa i nieprzyjemna. O godzinie 15 wchodzimy na szczyt. Przez jakiś czas — gdy szliśmy granią — wydawało się nam, że pogoda się psuje. Zaczęło nawet trochę grzmieć i posypywać. Teraz wszystko się rozosła, więc korzystamy z tego i rozpoczynamy zejście ukosem do kuluaru z Col des Droites i na lodowiec.

Zatrzymujemy się na moment w schronisku Couvercle, a potem w dół, do obozu! Ale góry widać nie lubią, kiedy alpinistom wszystko idzie gładko... Przy zbiegu lodow-

ców Leschaux i Mer de Glace słyszymy grzmoty, niedługo potem już leje. Docieramy do Montenvers solidnie przemoczeni. Lecz wtedy dopiero się zaczyna...

Przeszło godzinę trwała burza, jakiej dotąd chyba jeszcze nie przeżyłem. Jej nowe uderzenie dopadło nas trochę później na ścieżce. Było nam już wtedy wszystko jedno. Musieliśmy spłacić tę swoją daninę. Gdy w nocy, na uśpionym obozowisku w Les Pras, dygotaliśmy z zimna, szukając dla siebie wolnego namiotu — wcale nie czuliśmy się zwycięzcami.

## „Directe Nord” na Dru

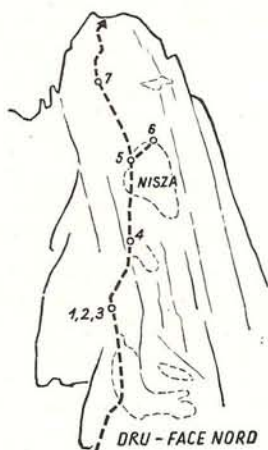
W ośmiodniowej wspinaczce (8—15 II 1967) zespół w składzie: Jean Paul Paris, Claude Jager, Michel Feuillarde i Yannick Seigneur przeszedł nową drogę, wiodącą w pobliżu przełamania północnej ściany Petit Dru. Ściana ta, a konkretnie mówiąc droga o podobnym przebiegu, leżała też w planach niektórych naszych alpinistów, warto więc chyba zapoznać polskie środowisko z realizacją, na którą się spóźniliśmy.

Założenia taktyczne przewidywały: a) ściśły „podział pracy” — jeden dwuosobowy zespół prowadzi i zakłada linę poręczową (250 m długości, 9 mm przekroju), drugi zajmuje się tylko transportem sprzętu i przygotowywaniem biwaków, poruszając się po poręczowce przy pomocy „jumarów”; b) wyprawa nie pozostawia ubezpieczeń zabezpieczających odwrót i przez cały czas akcji przebywa w ścianie, kontakt z Chamonix zapewniony zostaje z pomocą radiotelefonu.

Pierwszy atak podjęto 3 lutego, przy czym Feuillarda zastępował André Parat. Po 2

dniach wspinaczki nastąpił odwrót, stwierdzono bowiem, że wobec niespodziewanie wielkich trudności, na jakie ekipa się natknęła, zaopatrzenie w sprzęt i żywność jest zbyt skąpe, a okres przebywania w ścianie przekroczyć musi planowane 5—6 dni. Akcję wznowiono po 2 dniach. Najpoważniejsze trudności napotkano na odcinku ok. 400 m w wielkim murze skalnym, wyprowadzającym do „Niszy Przyjaciół” oraz w środkowej partii kopuły szczytowej powyżej Niszy. W wielkim murze skalnym przeważała wspinaczka typu mieszanego z dużymi partiami hakowymi (podciąg, kolki, stanowiska w ła-weczkach). O nagromadzeniu trudności daje wyobrażenie fakt, że trzy pierwsze biwaki spędzono w tym samym miejscu. Dopiero czwartego dnia wspinaczki zespół prowadzący dotarł do Niszy, jednak było już zbyt późno, by zespół transportowy zdołał zorganizować w niej miejsce biwakowe. Dwa kolejne dni (5 i 6) pokonywano dolną część kopuły z biwaków w Niszy. Siódmego dnia zdołano przebyć zaledwie 40 m różnicy wysokości. Na przeszkodzie stanął wielki pas okapów — „Czerwone Dachy”. Osmego dnia, po biwaku urządzonym 140 m poniżej szczytu, we wczesnych godzinach popołudniowych cała czwórka znalazła się na wierzchołku.

Parę uwag o sprzęcie. Zespół korzystał z patentu „Eiger 1966”, tzn. plastikowego pojemnika na sprzęt w kształcie cylindra z uchwytem u góry. Pojemnik taki, nazywany „bambino”, nie klinuje się pod przewieszkami ani w kominkach. Wszyscy używali butów z wymiennymi filcowymi pantofelkami i mieli po jednej parze pantofelków na zapas. Pozwalało to wkładać zawsze suchy but, nawet gdyby się okazało, że skóra trochę namokła. Nie doszło jednak do tego, gdyż buty były oklejone warstwą nylonowego futerka, doskonale zabezpieczającego cholewkę przed wilgocią. W dodatku cały czas utrzy-



mywała się słoneczna i mroźna pogoda. Przedostatniego dnia stwierdzono wyraźnie zużycie się liny poręczowej, wytartej przez „jumary”.

Uczestnicy przejścia uważają swoją drogę za kolejny sukces miary poprzednich „directe nord” — Civetty (1963), Matterhornu (1965) i Eigeru (1966). O tym, że trudności

drogi są naprawdę rzetelne, świadczy czas jej II przejścia, dokonanego przez Niemców E. Mahnera i P. Schuberta: 24—29 sierpnia 1967. Szczegółowe omówienie całego przedsięwzięcia zamieściła „La Montagne” w zeszycie czerwcowym 1967 r.

**Andrzej Paczkowski**

## Wielki filar Finsteraarhornu

**Krzysztof Zdzitowiecki**

Zacząło się to przed ośmiu laty. Czytałem wtedy „Burzę nad Alpami” i na jednym ze zdjęć zobaczyłem Finsteraarhorn. Co za piękny szczyt — pomyślałem. Jadąc do Grindelwaldu wiedziałem, że chciałbym na nim być. Potem, już na miejscu, oglądaliśmy zdjęcie północno-wschodniej ściany i studio-

waliśmy opisy dróg w przewodniku. Wraz z Kazimierzem Głazkiem zdecydowaliśmy ostatecznie: północno-wschodni filar — 1100 metrów, skrajnie trudno, częściowo krucha skała, główne trudności powyżej czterech tysięcy. Największy i najpiękniejszy...

Osmego sierpnia w południe, uginając się pod ciężkimi plecakami, podchodziliśmy wzdłuż lodowca Unterer Grindelwaldgletscher. Nocujemy w starej rozwalonej budzie Schwarzegghütte i nazajutrz kierujemy się ku siodłu Finsteraarjoch. Podejście pod ścianę, 20-kilogramowy plecak i... lodowiec o trudnościach III — z ogromnymi serakami i szczelinami. W końcu przełęcz 3290 m. Wszystko na próżno! Trzeba wracać — mgła, wiatr, śnieg. Zostawiamy sprzęt i żywność w Strahlegghütte (2688 m), a sami mając w plecakach śpiwory i odrobinę jedzenia zbiegamy znów do Schwarzegghütte. W nocy budzi nas wiatr i ulewa. Rano, ciągle w deszczu, ruszamy dalej w dół.

Następne dni upływają na rejestracji kolejnych burz i rozpodzeń z sakramentalnym: „jutro wychodzimy”. Szesnastego to „jutro” staje się dniem dzisiejszym. Wyruszamy o czwartej rano i już o dziesiątej, skracając czas przewodnikowy prawie do połowy, jesteśmy w Strahlegghütte. To nie bagatela: zejść z Alpiglen (1615 m) na dno doliny (ok. 950 m) i podejść na wysokość prawie 2700 m. A stąd do przełęczy jest jeszcze 600 m różnicy poziomów! Tym razem jednak nie dochodzimy nawet na przełęcz. Nasz stary szlak lodowcem jest już nie do przejścia (powstały nowe szczeliny), a znad Eigeru ciągną czarne chmury. Przewala się burza, potem druga i trzecia. Zgnębieni wracamy do schroniska. Będziemy w nim czekać na poprawę pogody. Całą noc pada. To już chyba koniec.



Na filarze Finsteraarhornu — początek wielkiego uskoku. Wspina się K. Głazek.

Fot. Krzysztof Zdzitowiecki

Północno-wschodni filar Finsteraarhornu (4273 m) należy do najważniejszych i dlatego rzadko powtarzanych dróg Alp Berneńskich — łącznie przebyto go dotąd nie więcej, niż 10 razy. Przejście K. Gładka i K. Zdzitowieckiego (18–19 VIII 1967), wzbogacone dużym wariantem prostującym drogę, jest jednym z najambitniejszych osiągnięć polskiego lata alpejskiego 1967 r. Itinerarium i opis wariantu zamieścimy w następnym numerze.

Fot. E. Gyger (Adelboden)



Ala rano, o dziwo, zaczyna się przejaśniać. To nasza ostatnia szansa. Żywności mamy tyle, że moglibyśmy czekać jeszcze tylko jeden dzień. Znowu podążamy na przełęcz. Tym razem inaczej. Próg lodowca jest nie do przejścia, więc omijamy go kilometrowym trawersem po pokrytym świeżym śniegiem lodowym stoku. Uff, nieprzyjemnie. Na przełęczy urządzamy biwak w przykrytej mostem śnieżnym szczelinie brzeźnej, a potem klucząc wśród szczelin przecieramy zejście pod ścianę. To godzina drogi. Pogoda ciągle niepewna. Jakieś mgły, chwilami prószy śnieg. Wracamy do naszej szczeliny. Jest przytulnie, chociaż trochę mokro.

O trzeciej w nocy ostatni ciepły posiłek. W ścianę pójdziemy lekko — bez maszynki do gotowania, bez śpiworów. W plecakach tylko sprzęt, żywność, płachta biwakowa, zapasowe rękawice i aparat fotograficzny. Wyruszamy o 3.40. Pogoda cudowna, gwiazdy, śnieg zmrożony na beton. Tylko jak długo zdoła się ta pogoda utrzymać? Dotychczas nie wytrzymała nigdy dłużej niż dwa dni. Musimy iść bardzo szybko, a warunki w ścianie nie są po ostatnich opadach dobre.

O 4.35 Kazik przekracza szczelinę brzeźną i wchodzi na stromy stok firnowy, a potem lodowy. Sześć 45-metrowych wyciągów pola zajmuje nam godzinę i 10 minut. Dalej zdejmujemy raki, gdyż zaczyna się już skała. Zmieniamy się w prowadzeniu co wyciąg. Idziemy ciągle bardzo szybko. Skała jest niezła, ale na półkach leży mnóstwo luźnych bloków. Lina strąca jeden z nich, który wali się wprost na Kazika. Na szczęście kończy się na stłuczeniu, no pomińmy czego. Nie ma czasu na roztkliwianie się, wspinaczka trwa dalej.

O ósmej osiągamy pierwszy charakterystyczny punkt, tzw. Czerwoną Turnię. Filar

traci na nachyleniu, ale za to jeży się mnóstwem skalnych wież, wieżyczek i zębów. Mijamy je półkami i polami śnieżnymi po południowej stronie i wchodzimy w żleb, który wyprowadzi nas znowu na ostrze. Dotąd trudności nie przekraczały stopnia IV, teraz raptownie skaczą do góry. I skała staje się potworna. Wszystko się rusza i kruszy. Kolejny wyciąg trwa ponad godzinę. Prowadzi go Kazik i kiedy wreszcie przychodzi kolej na mnie, nie mogę wyjść z podziwu: 20 metrów nieustannie skrajnie trudno, praktycznie bez asekuracji. Następnym wyciągiem osiągam siodełko w filarze i stwierdzam, że ostatnie dwa zęby skalne trzeba minąć od północy bardzo stromą ścianą, składającą się z luźnych, bądź spojonych lodem bloków, pokrytych świeżym śniegiem. A dalej filar spiętrza się w szereg uskoków, które również trzeba pokonać od północy. Warunki typowe dla tatrańskiej zimy. Reszta dnia schodzi na odgrzebywaniu chwyków i stopni, zastanawianiu się, który blok wyleci, a który utrzyma, na wyszukiwaniu najmniej niepewnych stanowisk asekuracyjnych. Od czasu do czasu chwila ulgi po wejściu na ostrze, które zaraz trzeba opuścić, bo znowu spiętrza się w poprzewieszoną kruchą ścianę.

Szczególnie dobrze pamiętam ostatni pokonany tego dnia wielki uskok. 70-metrowa, prawie pionowa, zalodzona i zaśnieżona ściana. Na sucho byłaby pewnie lekko nadzwyczaj trudna. Teraz, lepiej nie mówić. I ciągle świadomość, że nie wolno dopuścić do najdrobniejszego wypadku. Jest nas tylko dwóch. Jeżeli się coś stanie, koledzy przyjdą po ścianę za tydzień. A pomoc? Chyba nigdy.

O 20.30, już o zmroku, kończę uskok i znajduję półkę śnieżną. Tylko czy będzie można

wbić dobre haki? Kazik podchodzi pod litą ściankę skalną i są... jeden dobry, drugi dobry... Po czwartym uznajemy, że wystarczy. Jesteśmy na wysokości ok. 3900 m i mamy za sobą dwie trzecie drogi, a przed sobą jej główne trudności: Szarą Turnię i dwustumetrowy uskok szczytowy. Na szczęście pogoda trwa, a biwak jest bardzo lekki. Trochę drzemniemy, śpiewamy i tak schodzi do świtu.

O szóstej rano (jest 19 sierpnia) ruszamy dalej. Początkowo wydaje się łatwiej, ale po dwóch wyciągach trzeci znów biegnie w całości po północnej stronie i należy do bardziej nieprzyjemnych. Stajemy pod Szarą Turnią. Jest to lity, przewieszony ku północy i wschodowi 25-metrowy żandarm. Tych 25 metrów różnicy poziomów wystarcza na dwa skrajnie trudne wyciągi. Po jednym dla każdego. Skwapliwie przeliczamy wysokość: to już 4000 m, do szczytu jeszcze 250 metrów, po godzinie już tylko 200. Tak, tylko 200, ale nad nami zwiesza się pionowy lity koń skalny, a w prawo i lewo widnieją zalodzone depresje. Lewą bez przerwy lecą kamienie, do prawej prowadzi kruchą ścianą 40-metrowy ryzykowny trawers. Zdobywcy filara szli lewą depresją, ich następcy prawą. A my pójdziemy prosto.

Skala jest lita, sucha, jak na Żabim Mniuchu. Pierwszy wyciąg pokonujemy względnie łatwo, drugi... o, ten będę długo pamię-

tał. Gładka krawędź skalna z drobnymi chwytami dopiero na granicy zasięgu rąk — zupełna ekspozycja i daleko od dobrego haka. Potem ulga kiedy „rynna” wchodzi po samo ucho i wreszcie niemilosiernie przewieszona zacięgie z odpekniętymi płytami, trzymającymi się nie wiadomo jak. Ten wyciąg trwał długo, ale miarą jego trudności były przekleństwa partnera, kiedy on z kolei szedł do góry, a ja na moment spóźniłem się ze ściąganiem liny. Nie wiedział jeszcze, że za chwilę czeka go coś nie mniej trudnego. Zaczął od pokonania ciasnego, kruchego kominka i stanął pod 5-metrowym zupełnie gładkim uskokiem. Minał go pionową północną ścianką, składającą się z samych odpekniętych bloków, i w sposób dla mnie absolutnie niepojęty zdołał z niej wyjść z powrotem na ostrze. I to już był prawie koniec. Jeszcze kilka wyciągów częściowo nadzwyczaj trudnych, ba — nawet krótkie spiętrzenie skrajnie trudne, ale to już nie było to. Tu już widziało się, że puści, i że dochodzimy. Widać było nie tylko grań. Widać było nawet szczyt. Niegroźne już były podchodzące z dołu mgły. Tuż przed ósmą wieczorem Kazik skończył ostatni wyciąg i wszedł na grań 15 metrów od wierzchołka. Przed nami było już tylko kilkanaście kroków po śniegu i długi szlak zejściowy, prowadzący do schroniska. Za nami cała ściana.

## W skrócie

● Szwajcarskie wioski górskie przeżywają stały odpływ ludności, emigrującej do ośrodków przemysłowych. W latach 1950-5, aż 24 gminy zanotowały ubytki przekraczające 26% ogólnego zaludnienia.

● Jadwiga i Lech Wróblewscy wędrowali w sierpniu 1967 r. po Alpach Julijskich i Durmitorze. Weszli m.in. na szczyty Savin Kuk (2312) i Sijeme (2472 m).

● 15-lecie istnienia obchodzilo w r. 1967 włoskie pogotowie górskie — Soccorso Alpino del CAI.

● W „Taterniku“ 1-2/1965 s. 65 J. Hajdukiewicz zrecenzował książkę M. Eisela „Wilder Hindukusch“. Jej skrócony przekład pt. „Niezwiedzany Hindukusch“ wydało w r. 1967 radzieckie wydawnictwo „Mysl“ (stron 163).

● „Krasny Slovenska“ ogłosily w numerze 8, 1967 r. s. 292 pełne wyniki swego plebiscytu na najpiękniejszy szczyt Słowacji. Wpłynęło ogółem 310 odpowiedzi, z czego na Krywań padło 150 głosów, za Wysocką zaś — 85. Trzecie miejsce zajął Rozsudziec (37 głosów), czwarte Chocz (28 głosów).

● OeAV obserwuje w gronie swoich członków stały spadek ilości wypadków w górach. 1963 — 234 ofiary (1,5 promille ogólnej liczby członków), 1964 — 258 (1,3 promille), 1965 — 247 (1,2 promille) i 1966 — 231 (1,2 promille). Zestawienia obejmują wypadki poważniejsze, ale nie tylko śmiertelne.

● W Dolinie Wielickiej przez całe lato trwały prace przy budowie nowego schroniska. Zmontowano dach, by przed nadejściem

zimy oddać budynek przynajmniej w stanie surowym.

● W jesiennym zeszycie „Mountain Craft“ znajdujemy obszernie informacje o IV PWII oraz o zimowym przejściu Filara Boccallego przez E. Chrobaka i towarzyszy.

● W dniu 12.X.1967 r. Koło Warszawskie zorganizowało indywidualną wystawę fotograficzną „Alpy 67“. Autorem zajęł A. Witkowski.

● Dwa pełne dni zajęło J. Kurczabowi i R. Szafirskiemu II powtórzenie Filara Wiewiórek na Cima Ovest di Lavaredo (1963). Obecnie droga ta ma już komplet haków i 30-40 przejść. W lecie 1967 r. czwórka Niemców przebiegła ją w 6 godzin. („Alpintismus“ 1967)

# Lato 1967 w Tatrach

Janusz Kurczab

O początku sezonu letniego 1967 r. pisalem już w poprzednim numerze naszego pisma (s. 138). Pozostałe dwa i pół miesiąca lata — mimo wyjątkowo dobrej pogody — nie wpłynęły na zestaw osiągnięć w sposób zasadniczy. Uwaga większości młodych taterników skupiała się w dalszym ciągu na Mnichu i Kazalnicy. Szybko rośnie liczba przejść dróg na tych ścianach, niestety, nie można powiedzieć, żeby procesowi temu towarzyszyło podnoszenie na wyższy poziom stylu wspinaczek. Sygnalizowane już na łamach „Taternika” używanie tzw. „wędek” urosło w tym sezonie do problemu, którym poważnie powinny się zająć referaty sportowe kół KW. Przegapiliśmy w Tatrach moment, kiedy wzorem wspinaczy alpejskich zaczęto u nas nagminnie używać haków jako stopni i chwytów na drogach klasycznych. Po pierwsze — Tatry to nie Alpy, a po drugie — nawet w Alpach trudności miejsc przebywanych z chwytaniem się haków są ściśle określane z uwzględnieniem tego elementu (np. „V z pomocą 2 haków lub VI bez haków”). Niejedna dzisiejsza „szóstka” tatrzańska w Alpach spadłaby do niższej kategorii! Stosowanie tych metod — na szczęście nie przez wszystkich — doprowadziło w konsekwencji do ogólnego obniżenia się poziomu umiejętności klasycznego wspinania wśród naszych taterników. W chwili, gdy wyrósł nam nowy problem (tym razem zauważony w porę), czas wrócić i do tamtej starej, a wciąż aktualnej sprawy.

Ładnym przejściem grani Tatr Wysokich rzadko powtarzanym wariantem od Rakuskiej Czuby do Liliowego mogą się pochwalic warszawiacy — J. Komusiński, A. Piekarczyk, K. J. Rusiecki i K. Koński (ostatni tylko do Wysokiej). Wśród licznych powtórzeń na Kazalnicy, zupełnie wyjątkowe są przejścia ściany Kotła, tzw. ściekiem. Droga przecinająca to wielkie urwisko została w tym sezonie przebyta dwukrotnie — po 3 latach od jej zdobycia. Nie używano przy tym co prawda „wędek”, jednak oba zespoły nie potrafiły uniknąć zakładania lin poręczowych, stosowanych zresztą również podczas I przejścia. W Tatrach Słowackich zorganizowano szereg polskich obozów, mimo to wyniki tam są raczej przeciętne. Nowych dróg wprowadzono sporo, nie mają one jednak większego znaczenia jako rozwiązania. Z powtórzeń zasługują na wyróżnienie przejścia na ścianie Galerii Gankowej, II przejście drogi R. Kowalewskiego i Z. Pałuchy na Młynarczyku oraz I polskie

przejście „dirttissimi” północnej ściany Pośredniej Grani, nota bene w nie najlepszym stylu. W zestawieniu najciekawszych dokonań uderza fakt powtarzania się tych samych nazwisk. Można zaryzykować twierdzenie, że ocena sezonu pod względem jakościowym nie uległaby zmianie, gdyby poza tymi 4 czy 5 rzeczywiście aktywnymi taternikami nie wspinał się w Tatrach nikt więcej...

W poniższym wykazie opuszczam przejścia wymienione już w „Taterniku” 3/1967, s. 138.

## Ciekawsze nowe drogi

*Szpiglasowy Wierch* — prawą częścią pd.-wsch. ściany: A. Skłodowski i A. Szymanowski, 15 IX 1967 (zob. Nowe drogi w Tatrach).

*Cubryna* — lewym skrajem pd.-zach. ściany: B. Konieczna, T. Piotrowski, Z. Prusisz, N. Skupniewicz i K. Skupniewicz, 19 VII 1967.

*Cubryna* — prawym filarem pd.-zach. ściany: K. Nasięgniewska-Jurkowska, O. Polakowski, J. K. Rusiecki, A. Skłodowski, A. Szymanowski i P. Wielburski, 17 IX 1967.

*Wotowa Turnia* — prawą częścią pn. ściany: E. Chrobak i S. Skierski, 27 IX 1967.

*Ciężka Turnia* — lewą częścią pd.-zach. ściany: J. Kiełkowski, T. Piotrowski i A. Uznański, 2 IX 1967.

*Galeria Gankowa* — lewą częścią pn.-zach. ściany: T. Piotrowski i Z. Prusisz, 16 VIII 1967.

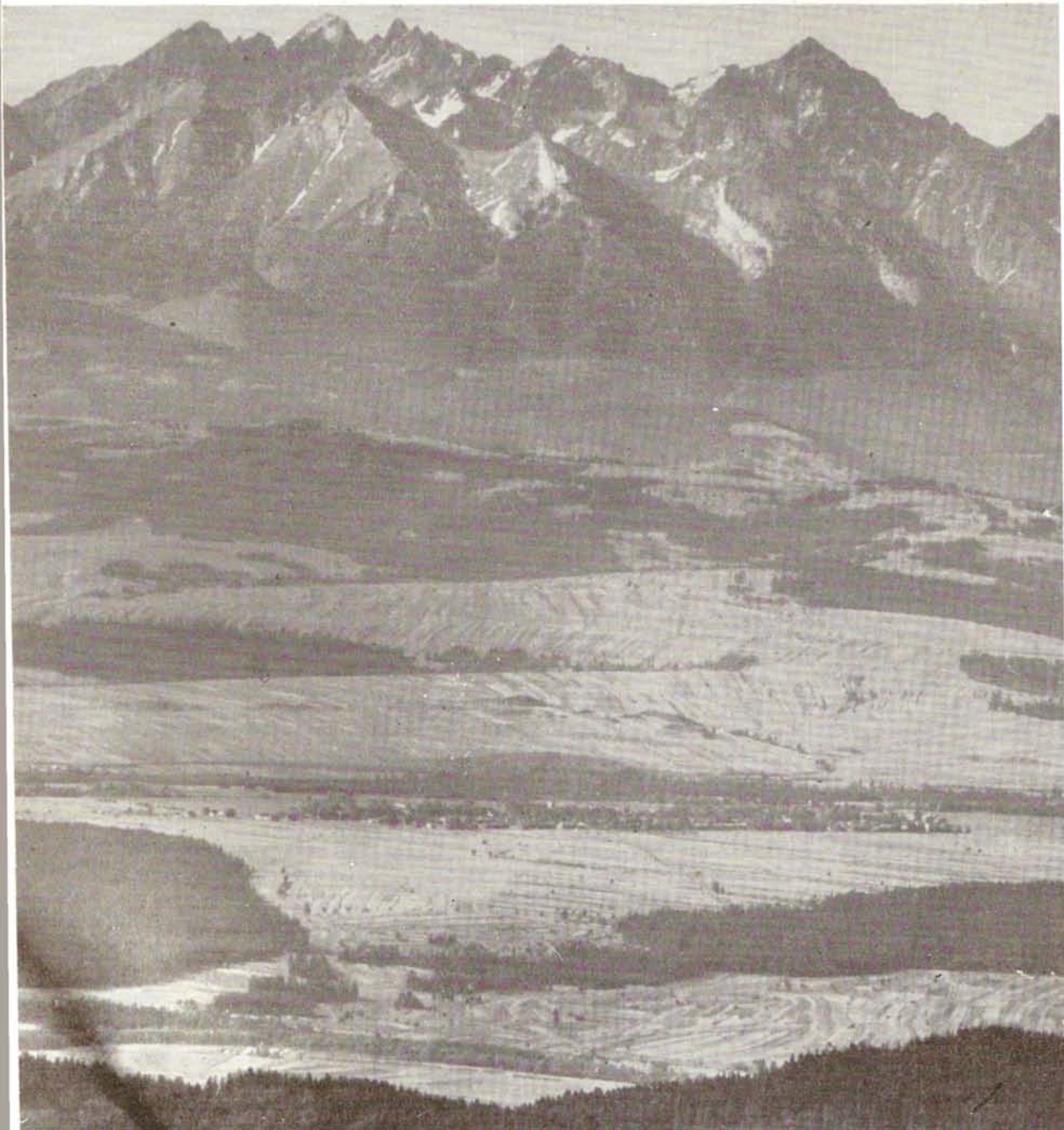
*Pośredni Gierlach* — lewym żebrzem wsch. ściany: J. Klauznicer, A. Pietraszek, Z. Siermiński i A. Szemis, 8 VIII 1967 (zob. Nowe drogi w Tatrach).

*Mata Wysoka* — środkiem pn. ściany: A. Matuszewski i W. Waligóra.

*Wielka Granacka Baszta* — środkiem czołowego urwiska lewego filara pn.-zach. ściany: J. Klauznicer i Z. Siermiński, 1 VIII 1967.

*Świstowy Szczyt* — lewym filarem (z Dol. Świstowej): J. Kiełkowski, T. Piotrowski i A. Uznański (Kraków), 30 VIII 1967.

*Skrajna Świstowa Turnia* — filarem z Dol. Rówienek: J. Kiełkowski i A. Uznański, 18 VIII 1967.



*Tatry z niezwyklej perspektywy: widok od północy z Turbacza w Gorcach (1310 m). W dole Rów Nowotarski z wsią Nowa Biała (odległość 12 km), dalej pogórza Spisza, Tatry Bielskie i Tatry Wysokie. Z prawej widać dolinę Białki, którą wiodły kiedyś w Tatry szlaki pasterzy i poszukiwaczy skarbów. Najbliższym szczytem Tatr jest Murań (odległość 33 km), najdalszym — Staroleśna (42 km). Zdjęcie wykonane zostało w czerwcu w godzinach rannych aparatem Linhof-Technika 6,5 X 9 cm, teleobiektywem 360 mm.*

*Fot. Krzysztof Jabłoński*



*Przełęcz nad Polaną* — kominem z Dol. Rówienek: J. Lange, Z. Prusisz i F. Wiczorek, 10 VIII 1967.

#### Wartościowsze powtórzenia

*Mnich* — drogą Heinricha i Sadusia na wsch. ścianie: K. Konarski i K. J. Rusiecki, 14 VIII 1967 (III przejście); J. Kozłowski, A. Migocki i J. Pszon, 19—20 VIII 1967; A. Byczkowski i M. Gabryel, 30 VIII 1967.

*Kazalnica* — drogą Chrobaka i Heinricha: Z. Pałucha, T. Piotrowski i K. J. Rusiecki, 10—11 VIII 1967.

*Kocioł Kazalnicy* — tzw. ściekiem: M. Włoddek i K. J. Rusiecki, 6—8 IX 1967 (II wejście); J. Kielkowski i T. Piotrowski.

*Kocioł Kazalnicy* — drogą Berbeki i Gryczyńskiego: T. Branicki i A. Tarnawski, 10 IX 1967 (III wejście).

*Młynarczyk* — wsch. ścianą drogą Kowalewskiego i Pałuchy: J. Kielkowski i A. Uznański (Kraków), 3 IX 1967 (II wejście).

*Galeria Gankowa* — drogą Łapińskiego i Paszuchy: T. Łaukajtys i Z. Prusisz, 24 VIII 1967.

*Galeria Gankowa* — drogą Kuchařa: J. Kielkowski, T. Piotrowski i A. Uznański (Kraków), 31 VIII 1967.

*Żłobisty Szczyt* — drogą Karouška: J. Kielkowski i A. Uznański (Kraków), 25 VIII 1967 (I polskie przejście).

*Batyżowiecki Szczyt* — pd. ścianą drogą Kutty: J. Kielkowski i A. Uznański (Kraków), 16 VIII 1967.

*Pośrednia Grań* — direttissima pn. ściany: G. Janota i W. Jeż (z biwakiem), 13—14 VIII 1967.

Od Redakcji. W notatce „Ostry początek lata”, zamieszczonej w numerze 3/1967, s. 138, mówiliśmy z uznaniem o stylu i poziomie wyliczonych tam powtórzeń z czerwca i pierwszych dni lipca. Wobec ujawnienia faktu, że większości z nich dokonano z użyciem „wędki”, czujemy się zmuszeni do cofnięcia tej oceny. Czasu i stylu przejść przeprowadzonych według reguł sportowych nie można przecież w żadnym razie porównywać z czasem osiąganym z pomocą wymyślnych ułatwień technicznych.



# Dolomity – Cima del Burèl

Ryszard Zawadzki

Latem 1967 r. przebywała w Dolomitach na zaproszenie Club Alpino Italiano 8-osobowa grupa wspinaczy z Klubu Wysokogórskiego. Z wyjątkiem Jana Jungera i Ryszarda Zawadzkiego (kierownik), ekipa składała się z taterników uczestniczących po raz pierwszy w wyjeździe centralnym. W skład zespołu, obok dwóch wyżej wymienionych, wchodził: Roman Bebak, Jerzy Brudny, Janusz Fereński, Kazimierz Liszka, Wojciech Stonawski i Adam Trzaska.

Terenem naszej działalności był zrazu masyw Civetty, poznany już przez Polaków podczas wyjazdów w latach 1962 i 1963 i posiadający obok dróg o najwyższej renomie, również liczne drogi średniej klasy. Po pobycie „aklimatyzacyjnym” pod Civetta, cała grupa (bez W. Stonawskiego) przeniosła się w masyw Schiary z zamiarem dokonania pierwszego przejścia południowo-zachodniej ściany Cima del Burèl.

Podczas całego pobytu w Dolomitach ekipa polska korzystała z cennej pomocy sekcji C.A.I. w Belluno oraz ze strony dra Piero Rossiego — znanego pisarza i fotografa z tego miasta.

## Kronika

Wyjazd z Warszawy nastąpił 26 VII — jak to rzadko bywa — zgodnie z planem. 28 VII wieczorem dotarliśmy do Belluno, gdzie zostawiliśmy w C.A.I. część sprzętu i żywności. 30 VII udaliśmy się autobusem do miejscowości Listolade, skąd podeszliśmy do schroniska Vazzoler (ok. 1000 m różnicy wzniesień), obok którego rozbiliśmy namioty. Dzień 31 lipca poświęcony był na urządzenie obozu. 1 sierpnia popsuła się pogoda, cały dzień padał deszcz. Następnego dnia nastąpiło częściowe przejaśnienie, które wykorzystaliśmy zespoły: J. Brudny, J. Junger i W. Stonawski oraz K. Liszka i A. Trzaska. Pierwsi przeszli zachodnią ścianę Torre Venezia drogą Castiglionię (IV), drudzy — Torre Trieste drogą Tissiego (VI), kończąc przejście w ulewnym deszczu. 3 VIII otrzymaliśmy z Belluno list od Piero Rossiego, donoszący o przyjeździe pod ścianę Cima del Burèl silnej czwórki niemieckiej, a równocześnie zawierający wiadomość, że dwóch Włochów proponuje udział w ew. polskim przejściu tej ściany. Tego dnia wskutek upadku na ścieżce W. Stonawski odnowił kontuzję ręki i postanowił wrócić do kraju — wyjechał z Belluno 10 VIII.

W dniu 4 i 5 VIII Liszka i Trzaska przeszli Wielkie Zacięcie Cima Su Alto; w tych samych dniach Brudny, Junger i Zawadzki dokonali III przejścia południowo-zachodniej ściany Cima della Busazza; 4 VIII Bebak i Fereński przeszli zachodni filar tego szczytu.

7 VIII nastąpiło w Belluno spotkanie z dwójką Włochów — uzgodniono ilość sprzętu i żywności na wspólne przejście. 10 VIII po otrzymaniu wiadomości, że Niemcy zrezygnowali po 4-dniowych próbach z przejścia ściany — postanowiliśmy opuścić schronisko Vazzoler i przenieść się w rejon Schiary. W dniu 11 VIII cała grupa zlikwidowała obóz i zeszła do Listolade, skąd udała się do La Stanga — hotelu położonego u wylotu Val di Piero (zob. „Taternik” 1-2/1966 — mapka, s. 27). 12 VIII Junger i Zawadzki podeszli w górę tą doliną celem znalezienia odpowiedniego miejsca na obóz, jednak strome stoki porośnięte trawą i kosówką nie nadawały się do tego celu. Przez Forcella Oderz przeszliśmy więc do schroniska „Settimo Alpini”, by rozbić namioty tam, gdzie obozowała grupa polska w r. 1965.

W dniu 14 VIII Brudny, Liszka, Trzaska i Zawadzki podeszli stamtąd wraz ze sprzętem i żywnością na Forcelleta Oderz i dalej w kierunku ściany Cima del Burèl. Trawers okazał się trudny i skomplikowany, a na kamieniach widniały znaki „Sporthaus Schuster” — najprawdopodobniej zostawione przez D. Hasse i jego towarzyszy. Gdy o godz. 14 osiągnęliśmy taras, przecinający w połowie ścianę, po przeciwnej stronie na Fratta del Moro zobaczyliśmy dwójkę wspinaczy, przez lornetkę studiujących ścianę Burèla. Brudny, Liszka i Trzaska rozpoczęli wspinaczkę, by po 2 wyciągach zjechać z powrotem na taras i przenocować w namiocie rozbitym obok przez Fereńskiego i Zawadzkiego.

W dniu 15 VIII Brudny, Liszka, Trzaska i Junger rozpoczęli przejście górnej partii ściany. Równocześnie do schroniska przyszli nasi włoscy partnerzy: Giorgio Garna i Gianni Ganeselli. W dniach od 15 do 17 VIII codziennie na taras przychodzili pozostali uczestnicy obozu, podając czwórcę wodę i zaopatrzenie na 400-metrowym rep-sznurze — pożyczonym od grupy „Scoiattoli” z Cortiny. 18 VIII rano, już w łatwym terenie pod szczytem, kamień uderzył Trzaskę, któremu pozostali trzej uczestnicy pomogli wejść na wierzchołek, osiągając go o godz.

12. 19 VIII do schroniska zeszli Junger i Liszka, natomiast Trzaska i Brudny udali się wprost do La Stangi, skąd po południu Trzaska został przewieziony do szpitala.

20 VIII obaj Włosi oraz Bebak, Fereński i Zawadzki zeszli przez Val di Piero do podnóża ściany — dojście jednak pod samą ścianę okazało się zawikłane i uciążliwe, dlatego po zrobieniu przez Włochów dwuwyciągowego rekonesansu w dolnej partii — postanowiono wrócić i rozpocząć przejście całości nazajutrz od wczesnych godzin rannych. 21 VIII cała piątka przeszła dolny odcinek ściany. Po dniu uciążliwej wspinaczki, zakończonej późnym wieczorem — następnego dnia postanowiliśmy odpocząć w namiocie na skraju tarasu. W tym dniu koleździ donieśli ze schroniska konieczny sprzęt oraz żywność. Górną partię ściany, dzięki hakom, pozostawionym przez poprzedni zespół, udało nam się pokonać w dwóch dniach — 23 i 24 VIII. Pogoda, do tej pory z małymi wyjątkami doskonała, wybitnie się pogorszyła: biwaki, w tym jeden już pod wierzchołkiem, spędziliśmy w burzy, deszczu i gradzie. Znacznie się ochłodziło.

25 VIII wcześniej rano szczyt osiągnęło 2 Włochów i 2 Polaków, a w kilka godzin później R. Zawadzki, który biwakował dwa wyciągi niżej i likwidował sprzęt pozostawiony przez partnerów podczas burzy nocnej. Pod szczytem spotkał oczekujących kolegów — Jungera, Brudnego i Liszkę, którzy pomogli zabrać pozostawiony w nocy sprzęt. W tym dniu popołudniu wszyscy uczestnicy przejścia (z wyjątkiem Trzaski) znaleźli się w obozie.

26 VIII w południe odbyło się przyjęcie, urządzone dla uczestników przejścia Cima del Burel przez prezydenta prowincji Belluno — m. in. wręczono nam medale pamiątkowe z okazji tego osiągnięcia.

28 VIII Junger i Zawadzki odwiedzili w Cortinie d'Ampezzo prezesa tamtejszej sekcji C.A.I. i członka honorowego KW, Giuseppe Degregorio oraz złożyli na ręce Lorenzo Lorenzi podziękowanie za wypożyczenie przez „Scoiattoli” sprzętu. 29 VIII cała grupa opuściła Belluno i udała się do kraju.

### Wyniki sportowe

Grupa przebywała w Dolomitach nie pełny miesiąc — dokładnie 27 dni. W okresie pobytu pod Civetta oraz w ciągu tych kilku dni, kiedy przenosiliśmy się pod masyw Schiary — pogoda była zła, codziennie padał deszcz. W drugim natomiast okresie —

po 15 sierpnia — czyli podczas przejścia Burel, warunki pogodowe znacznie się poprawiły.

W rejonie Civetty, obok dróg o charakterze treningowym, jak Torre Venezia czy Torre Trieste (2436 m — tu zespół miał największe trudności... w zejściu, zjeżdżając kominem pełne 750 m), przebyto trzy drogi o dużych trudnościach, z których najwyżej należy ocenić przejście Cima Su Alto.

*Cima Su Alto* (ok. 2900 m). Droga poprowadzona jest wielkim zacięciem północnej ściany, liczącej 800 m wysokości. Pierwsze przejście tej drogi w r. 1951 w ciągu 3 dni przez doskonałych Francuzów, G. Livanosa i R. Gabriela, otworzyło nową erę w pokonywaniu pionowych urwisk Dolomitów. Trzeba było czekać 6 lat, by dwaj Włosi, R. Sorgato i G. Redealli dokonali powtórzenia tej drogi w czasie nie krótszym od pierwszych zdobywców. K. Liszka i A. Trzaska przeszli drogę 4 i 5 VIII 1967 w ciężkich warunkach pogodowych, w ciągu 20 godzin efektywnej wspinaczki, z jednym biwakiem spędzonym w deszczu. Droga klasą dorównuje direttissimom na północnych ścianach Tre Cime, choć skała na pewno jest bardziej krucha. Dlatego czas przejścia i styl Polaków trzeba uznać za bardzo dobry.

*Cima della Busazza* (2916 m). Zachodnim filarem (1000 m wysokości). Droga w skali V



Cima del Burel — przed rozpoczęciem wspinaczki w górnej części ściany. Siedzi K. Liszka, stoją J. Brudny i A. Trzaska.

Fot. Ryszard Zawadzki

z miejscem —VI, największe nagromadzenie trudności w 300-metrowej kopule szczytowej. Przejścia dokonał zespół J. Fereński i R. Bebak 4 VIII 1967 r. w dobrym czasie 10 godzin. Zejście na stronę wschodnią jest długie i skomplikowane.

*Cima della Busazza* (2916 m). Środkiem południowo-zachodniej ściany, 950 m wysokości. Pierwsze przejście było robione w 1956 r. przez A. Da Roit (kierownik schroniska Vazzoler) i A. Bonato. Droga w skali V z jednym miejscem —VI. J. Brudny, J. Junger i R. Zawadzki zrobili w dniach 4 i 5 VIII 1967 r. drugie powtórzenie tej drogi, z biwakiem w kopule szczytowej, którą zespół przeszedł nowym wariantem, narzucającym się logicznie z prawej strony ściany. Warunki pogodowe złe — biwak w deszczu i w burzy.

*Cima del Burèl* (2281 m). Południowo-zachodnia ściana Cima del Burèl licząca od podstawy 1300 m wysokości, jest drugą po Monte Agner ścianą Dolomitów; nawet północno-zachodnie urwiska Civetty ustępują jej wysokością.

W roku 1954 Piero Rossi doszedł wraz z dwoma towarzyszącymi uciążliwą ścieżką — prawdopodobnie wydeptaną przez kłusowników — do podnóża ściany. Wydaje się, że trójka ta nie licząc miejscowych górali i myśliwych ujrzała pierwsza zerwy Burèla. Od tego rekonesansu minęło dwanaście lat i dopiero w r. 1966 słynni „Scolattoli” z Cortiny, z przewodnikiem Lorenzo Lorenzi na czele, rozpoczęli szturmować ścianę. Po dwóch próbach — dochodząc do początku trudności — zaniechali dalszej wspinaczki. Na początku sierpnia 1967 r. przyjechała do Belluno z zamiarem przejścia tej ściany czwórka Niemców, w której skład wchodził D. Hasse i J. Lehne — dwaj zdobywcy direttissimi Cima Grande; Lehne wslawił się również udziałem w zimowym przejściu direttissimi Eigeru. Po czterodniowych próbach wbili

ostatniego haka... 40 m powyżej tarasu, nie przeszedłszy części dolnej.

Ściana Cima del Burèl przebyta została przez zespół polsko-włoski w dwóch rzutach. Górną 750-metrową partię pokonał jako pierwszy zespół polski. Całość ściany przebyła 5-osobowa grupa polsko-włoska, robiąc pierwsze przejście 550-metrowego dolnego odcinka do tarasu i powtarzając górny odcinek — z użyciem haków pozostawionych przez czwórkę Polaków.

Ogółem w pokonaniu ściany uczestniczyło 9 osób: R. Bebak, J. Brudny, J. Fereński, G. Garna, G. Gianceselli, J. Junger, K. Liszka, A. Trzaska oraz R. Zawadzki. Droga została oceniona jako VI+ (8 miejsc w skali VI, 2 wyciągi H 2). Liczne miejsca przechodzono z pomocą haków. Oba zespoły łącznie wspięły się 110 godzin — licząc efektywny czas wspinaczkowy. Użyto 120 haków (oprócz stanowiskowych), 2 kołków i 12 nitów. Wszystkie nity oraz 80 haków pozostawiono w ścianie. Droga jest bardzo efektywna i rozwiązuje logicznie środek południowo-zachodniej ściany. Największe trudności, to skrajnie trudne wyciągi o kruchej skale i złej asekuracji — przechodzone klasycznie bez możliwości ulokowania haków. Trudności zostały ocenione kolektywnie, według skali przyjętej w Dolomitach, w której IV odpowiada tatrzańskie V.

★

*Prezes Koła Wrocławskiego KW, Adam Uznański, spotkał we wrześniu na Słowacji znanego pisarza górskiego z NRF i redaktora miesięcznika „Alpinismus”, T. Hiebelera. „Wasze przejście na Cima del Burèl, to największy sukces lata 1967 w całym paśmie Alp” — oświadczył on, przekazując gratulacje dla zdobywców. Ponieważ ostatnie lato alpejskie obfitowało w piękne wyniki, a Hiebeler, z racji swego zawodu, ma w nich bez wątpienia orientację najlepszą — jego opinia wystarczy za całą ocenę tego wielkiego przedsięwzięcia. (Redakcja).*

## W Skalkach jesienią

*Zimny, październikowy wiatr wpada do koleby. Porywa z ogniska iskry i niesie je w pochmurną noc. Znów jestem w skalkach. Dziś nie przyjechał nikt więcej. Siedzę sam i karmię ognisko kawałkami brzozonego pnia. Ogień lubi brzozone drewno, a ja lubię patrzeć, jak pożera białą korę i słuchać, jak przy tym trzaska, piszczy, gada. Patrzę, słucham tego gadania i cieszę się, że sam gadać nie muszę. Ale muszę coś myśleć — myślę więc, że dobrze nam w naszych skalkach.*

*Dlatego pewnie stale tu przyjeżdżamy. Wiosną — prosto z zaśnieżonych jeszcze Tatr, by zastać skałki ciepłe, wygrzane słońcem, otoczone młodą zielenią buków. Po lecie spędzonym w „prawdziwych” górach — mniejszych i większych, bliższych i dalszych — wracamy tu jesienią.*

*Jeździmy w skałki często. Znamy każdą drogę, każdy chwyt i stopień, każde płaskie miejsce do spania, nawet każdy napis na skale, wykuty niewiadomo czyimi rękoma. Pytają: po co tam ciągle jeździcie? Któż na*

to pytanie odpowie? Może, żeby namęczyć się i odpocząć; może żeby coś wspominać, a czasem — żeby o czymś zapomnieć. Wspiąć się? Tak, oczywiście, ale czy skałki to tylko wspinanie?

A balkonik pod Krzywą?... Zawieszona nad lasem, w środku ściany płasienka. Siedzimy po pracowitym dniu, pijemy herbatę... cisza. Daleko na horyzoncie grań Karkonoszy. Przed nimi coś bliższy — to w jakimś stawie odbija się słońce. Staw gaśnie, kolorowe niebo ciemnieje, wreszcie wielkie słońce chowa się za granią. Stopniowo zapalają się światła: Jeleniej Góry, Szklarskiej Poręby, Karpacza. Widać stąd kawał świata — naszego, sudeckiego.

Albo: ...Noc. Wiatr przemiata suche liście; całe masy liści — pod śpiworem, na śpiworze, wszędzie. Księżyc prześwieca przez nagie gałęzie buków. Czyjeś szeroko otwarte oczy wpatrują się w las. Bo dla kogoś to pierwsza noc poza domem: trochę niezwykła, może straszna... To też skałki.

Dziś znów wieje, więc ognisko pali się wyjątkowo dobrze. Płomienie liżą skośny dach

koleby, sięgają aż do miejsca, gdzie tkwi w nim okopcony nit. Nit stary, prawie już historyczny, może pierwszy osadzony w polskich górach? Dobry nit... Całe pokolenia kursantów próbowały na nim swoich sił. Tych, co go wbijali, nie ma już dawno, a nit wciąż siedzi, przypomina...

Iluż to ludzi przewinęło się przez naszą kolebę? Jedni nie wracają, bo wyjechali gdzieś dalej; ktoś się ożenił; kogoś przywiązała do miasta „mała stabilizacja” — inni nie wrócą, bo zostali pod Żabiem, na Karczownicy i Miękusowieckim, na Galerii Gankowej i grani Rochefort.

Za tydzień Wszystkich Świętych, trzy dni wolne od pracy. Zjedzie się bractwo z Wrocławia, przyjadą pewnie i z innych miast. Będą się wspinać i będzie „fajnie”. A wieczorem ten i ów wymknie się z zatłoczonej koleby, od ogniska. Rozejdą się po skałkach, żeby w schowanych od wiatru szczelinach zapalić kolorowe woskowe kule — zaduszkowe świece. O jedną więcej, niż przed rokiem...

Bogdan Jankowski

## O Juliuszu Zborowskim

Nieporównany znawca Podhala i góralszczyzny, jedna z najpopularniejszych postaci w całej historii Zakopanego. Urodził się 18 kwietnia 1888 r. we Lwowie, wychował się w Nowym Sączu, gimnazjum ukończył w Krakowie, gdzie w latach 1906—1908 rozpoczął studia filologiczne (polonistyka), kontynuowane później w Lipsku. W r. 1914 osiedlił się w Nowym Targu, a w 1922 został dyrektorem Muzeum Tatrzańskiego, z którym współpracował od r. 1918. Na tej placówce zastała go śmierć w dniu 15 czerwca 1966 r.

W Muzeum Tatrzańskim w Zakopanem nigdy nie było działu taternictwa. Turyści oglądali na wystawach eksponaty pasterkie, okazy geologiczne, zasuszone rośliny, prawem swojej naukowości do gablot wkrađa się nawet speleologia. O historii zdobycia Tatr było głucho.

Wiele mówiliśmy o tym podczas licznych rozmów z dyrektorem Zborowskim. Nie było miejsca. Trzeba było gromadzić eksponaty i czekać na nowy gmach, którego plany miały być kiedyś tam zatwierdzone. Dla spopularyzowania w społeczeństwie myśli poszerzenia o taternictwo wystaw Muzeum Tatrzańskiego, dyrektor Zborowski namówił



mnie do zamieszczenia w „Taterniku” większej notatki na ten temat (2/1960 s. 30—31). Przyniósł mi nawet list S. Eljasza-Radzińskiego z dnia 4 X 1892 r., apelujący do Towarzystwa Muzeum Tatrzańskiego o organizację działu podróźniczego (turystyczne-

go). Słowo „tatarnik” nie miało jeszcze wtedy dzisiejszego znaczenia, a ściany tatrzańskie zdobywali podróżnicy i turyści. Notatka ta razem z artykułem M. Świerza „W sprawie działu tatarnickiego w Muzeum im. Chałubińskiego” („Zakopane” 28 VII 1914) stwarzała możliwość perspektywicznego spojrzenia na obiektywne przyczyny, które wpłynęły na brak tatarnickiej wystawy.

\*

Juliusza Zborowskiego poznałem w Zakopanem kiedy miał 65 lat. Wydawał mi się człowiekiem, który dawno nie był w Tatrach. O tatarnictwie sportowym nigdy nie rozmawialiśmy. Byłem przekonany, że nie przeszedł żadnej drogi wspinaczkowej, choć oczywiście znał na wylot nie tylko masyw Tatry, ale i jego okolicę. Był zafascynowany ludem, jego wędrownkami w góry, zbójnickimi wyprawami, wspinaczkami po zerwach tatrzańskich w poszukiwaniu kozic. Tym interesował się przede wszystkim. Na dłużej przyjeżdżał do Zakopanego od 1913 r., choć już wówczas uchodził za nie lada znawcę gwary górali Skalnego Podhala.

\*

Kiedy z Warszawy obladowany sprzętem jechałem do Morskiego Oka, zwykle patrzył na mnie z pobłażaniem. Dlatego zdziwiły mnie kiedyś jego słowa, wypowiedziane z wyraźną dumą: „Wie pan, znów rozpocząłem współpracę z Tatarnikiem — piszę Paryskiemu przyczynki do historii tatarnictwa”.

Zacząłem wertować dawne „Tatarniki”. Bez trudu znalazłem w r. 1947 (nr 2—3) dwa omówienia książek opublikowanych w języku niemieckim. Pierwsze z nich demaskowało „historyka” z Generalnej Guberni, R. Kesselringa, za fałszerstwa i nieuctwo, zawarte w wydanej w 1943 r. książce, druga informowała o opublikowanej w r. 1942 rozprawie A. Grosza pt. „Der Anteil unserer Anstalt an der Erschliessung der Hohen Tatra”. Ten nowy etap współpracy z „Tatarnikiem” był już właściwie trzecim z kolei, gdyż pierwszy z nich — przed 45 laty — zapoczątkował artykuł na temat funkcji naszego pisma i jego stosunku do „Pamiętnika Towarzystwa Tatrzańskiego” („Tatarnik” 1—2/1922, s. 18—20). Ostatnia jednak publikacja jako najbardziej charakteryzuje sylwetkę pisarską Zborowskiego, jakiego znałem. Oł, choćby historia z r. 1900, kiedy to S. Eljasz-Radzikowski i K. Brzozowski wraz z K. Bachledą zrzucili umieszczoną na Gierlachu tablicę ku czci Franciszka Józefa. Po

zniszczeniu nieproszonego w Tatrach dowodu kultu dla monarchy, nielojalni poddani — tak pisze Zborowski — „udał się do Słaskiego Schroniska i tu za zdrowie Najmiłościwiej Panującego wypili trzy flaszki wina i zjedli dwie kaczki”.

Prosty styl formułowania myśli, lapidarny język, celny dowcip — to podstawowe cechy jego pisarstwa. Nie tylko zresztą pisarstwa: kiedyś ogłosił „konkurs otwarty” na nazwę kobiety-grotołaza; sam zaproponował określenie „grotołazica”.

\*

Tatry. Historia ich poznania i zdobycia. To nie tylko kilka artykułów opublikowanych w „Tatarniku”, „Wierchach” i innych czasopismach. To przede wszystkim zbiory archiwali z wieloletniej historii polskiego tatarnictwa — dokumentów, zapisków, korespondencji — zbiory, które czekają na opracowanie i na wystawienie w Muzeum Tatrzańskim.

Pisał dużo. Publikował mniej. Pozostawił ogromne ilości rękopisów. Nie można zrozumieć, kiedy znajdował na nie czas. Kłopoty w Muzeum, liczni goście. Nigdy nikomu nie odmawiał pomocy. W sezonach turystycznie martwych czuł się trochę nieśczęśliwy. Największą radość sprawiało mu wtedy to, gdy się mógł z kimś podzielić nowymi materiałami wyszperanymi ze starych roczników czy archiwów.

Przykład z artykułem o dziale tatarnickim w Muzeum Tatrzańskim jest tylko drobnym świadectwem pomocy. Dyrektor dostarczył mi wiele materiałów do opracowania działalności speleologicznej Mariusza Zaruskiego i przyrodniczej — Tytusa Chałubińskiego. Był profesorem w ścisłym tego słowa znaczeniu (*de jure* i *de facto*), mimo braku katedry. Nic dziwnego, że na jego pogrzeb przybyli z wyrazami hołdu zarówno przedstawiciele ministerstw, wyższych uczelni i instytucji naukowych, jak również młodzież szkolna i tłumy prostych górali.

Kiedy 17 czerwca 1965 r. na Cmentarzu Zasłużonych w Zakopanem przy akompaniamencie przemówień składano Go do grobu, nie sposób było uwolnić się myślom od pewnego zdarzenia sprzed kilku lat. Wówczas dyrektor Zborowski w poszukiwaniu materiałów do artykułów wyszedł z Muzeum pozostawiając na drzwiach karteczkę: „Idę na cmentarz, ale jeszcze wrócę”. Tym razem już tam pozostał.

Zbigniew Wójcik

# Nowe drogi w Tatrach

## Szpiglasowy Wierch

I wejście prawą częścią pd.-wsch. ściany: Andrzej Skłodowski i Adam Szymanowski, 15.IX.1967. Skrajnie trudno (2 haki jako chwyt), 2 godz.

Wejście w ścianę zacięciem — 39 m na prawo od zacięcia zaczynającego drogę Cz. Lapińskiego. W górę (-V) do miejsca, w którym zacięcie przechodzi w trawiastą rynnę (III). Nią 20 m do stanowiska pod białym kominkiem, skąd skośnie w lewo przez płytę pod przewieszoną barierę skalną (V+). Stąd trawers w lewo do bloku (IV), na blok i przez przewieszoną ściankę (VI, 2 haki jako chwyt). Dalej 40 m z lekkim odchyleniem w prawo do następnego bloku (IV), a potem 3 długości liny (miejscami III) na wierzchołek.

A. Skłodowski

## Ciemnosmreczyńska Turnia

Lewą częścią pd.-zach. ściany: Michał Czerniewski, Rafał Laszkiewicz i Andrzej Truskolaski, 6.IX.1963. Droga w dolnej części dość trudna, dalej łatwa; 1 godz.

Początek drogi w lewej części szerokiej grzędy skalnej, opadającej najniżej z całej ściany, tam gdzie przez ciemne strome skały spadają dwa ciasne, wilgotne kominki. Lewym z nich w górę (dość trudno) i dalej łatwym trawiasto-skalnym terenem kilka metrów, po czym trawers w prawo po stromych trawkach na krawędź połogiej grzędy.

Krawędzią grzędy lub nieco w prawo od niej w górę, równoległe do biegnącego z prawej strony głębokiego żlebu, rozpoczynającego się w górze pionowym urwiskiem. Po zagubieniu się grzędy w trawiastym terenie, przejście ukosem w prawo po trawkach ponad początkiem żlebu, a następnie wprost w górę trawiasta depresja na siodelko w grani. Grania w prawo około 40 m na wierzchołek.

R. Laszkiewicz

## Ciemnosmreczyńska Turnia

I wejście środkowym żebrem pd.-zach. ściany głównego wierzchołka: Andrzej Mierzejewski i

Andrzej Byczkowski, 25.VI.1967. Droga miejscami trudna, 1 1/2 godz.

W południowej ścianie głównego wierzchołka Ciemnosmreczyńskiej Turni znajdują się trzy żebra, z których najwybitniejszym jest środkowe, zaznaczone w opisie drogi WHP 513 jako „wybitne żebro“. Wzmiankowana droga prowadzi żebrem po prawej stronie. Prawym ograniczeniem tego żlebu jest żebro, którym wiedzie droga WHP 512. Nasza droga trzyma się cały czas ściśle ostrza żebra, pokonując kilka uskoków, i wyprowadza wprost na główny (pd.-wsch.) wierzchołek.

A. Byczkowski

## Cubryna

I wejście prawym filarem pd.-zach. ściany: Krystyna Nasięgniwska-Jurkowska, Olgierd Polakowski, Jacek K. Rusiecki, Andrzej Skłodowski, Adam Szymanowski i Piotr Wielburski, 17.IX.1967. Skrajnie trudno, H 1 (4 punkty hakowe), 2,30 godz. Czas I przejścia 6 godz.

Droga wiedzie litym filarem ograniczającym ścianę z prawej strony i kulminującym w dużej turni. Z piarzystego zachodu pod filarem w górę przewieszoną rysą (VI) przez pierwszy pas przewieszek, a następnie po płytach pod okapik (IV). Stąd 5 m w górę i trawers pod dużym okapem w prawo do zacięcia (V). Zacięciem (H 1, VI) nad okapik, a potem w górę i w lewo na kant filara (V). Filarem 45 m na wierzchołek turni, skąd 2 wyciągi łatwym terenem na wierzchołek Cubryny.

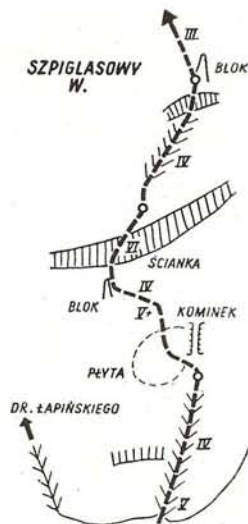
K. Nasięgniwska-Jurkowska

## Koprowy Wierch

I wejście prawym żebrem pn.-zach. ściany: Eugeniusz Chrobak, Andrzej Heinrich i Ryszard Zawadzki, 23.VI.1967 r. Droga bardzo trudna, dolna granica (-IV). 3,30 godz.

Droga biegnie prawym żebrem wyraźnie rysującym się na tle pn.-zach. ściany Koprowego Wierchu.

Terenem skalno-trawiastym do zachodu przycinającego dolną część żebra (można tu bez trudności wtrawersować, obchodząc



dolne spiętrzenie z prawej strony). Stąd na następny zachodzik, zanikający w żebro. Nim trawers w lewo (II), i dalej w litej skale, mijając mokry kominek nad płytą tektoniczną. Dochodzimy do płytkiej depresji, nią 10 m w górę pod przewieszony występ skalny. Po jego prawej stronie przez przewieszkę (IV) na stopień, po czym trawers w prawo do płytkiej rynny Rynna skośnie w lewo w górę na trawiasty teren. Trawami do następnego skalnego zacięcia, nim 2 wyciągi (II) w litej skale aż do miejsca, gdzie zacięcie zanika. Nad nami skośnie w lewo biegnie płytowa załupa. Trawersujemy 15 m w prawo za kant czarnego filarka do płytowej rynny. Nią wprost w górę 2 wyciągi (III), ładna wspinaczka w litej skale) aż na trawiasty zachód przycinający żebro. Ostrzem żebra przez następne spiętrzenie (III) do niemyrznego kominka, którym w łatwiejszy teren. Dalej ściśle ostrzem na grań i nią na szczyt (15 min.).

A. Heinrich

## Kazalnica Mięszowiecka

I wejście nową drogą pn.-wsch. ścianą: Peter Diežka, Ondrej Pochylý, Pavel Pochylý i Jiří Zrust, 2-3.IX.1967. Trudności VI, H 4. 15-20 godz.

Droga wiedzie pomiędzy lewym filarem a drogą Momatiuka z r. 1962. Wejście w ścianę — jak w lewy filar, aż do półki pod płytą. Użyto 77 haków, 16 „jedynek“ i 1 kółka. 25 haków pozostało w ścia-



nie. Przejście trwało 2 dni (biwaki zaznaczone na schemacie), efektywnego wspinania 21 godzin. Nowa droga wykazuje maksymalne na całej ścianie spiętrzenie trudności.

J. Zrust

### Skrajna Pusta Turnia

I wejście pn.-zach. filarem: Małgorzata Jurewicz, Marek Grochowolski i Samuel Skierski, 3.IX. 1965, II wejście (BC): B. Piątowska, K. Grajewski i R. Kowalewski, 10.IX.1965. Droga częściowo nadzwyczaj trudna i eksponowana. 1.30 godz.

Droga zaczyna się w miejscu, gdzie pn.-zach. filar schodzij najniżej, tj. z najwyżej położonej siodełka w grzędzie przechodzącej niżej w próg Zmarzłego Stawu.

(A) Nieco na prawo łatwą depresją w linii spadku wyraźnego komina (w górze zamknięte przewieszkami) aż na trawiasty zachód wznoszący się skośnie w lewo na ostrze (III). Tuż na prawo od ostrza wprost w górę na wyraźny stopień z blokiem (IV).

(B) Albo: Po lewej stronie ostrza, wyżej małą kominkową depresją, na wyraźny stopień z blokiem (IV).

(C) Teraz krok w prawo do wyraźnego kominkowatego pęknięcia, które wyżej przechodzi w rynnę (początek V, dalej IV). Następnie łatwiejszą już grzędą przez kilka uskoków (II—III) na odległy jeszcze wierzchołek.

S. Skierski

### Pośredni Gierlach

I wejście lewym żebrem północno-wschodniej ściany (z Doliny Wielickiej): Jerzy Klauznicer, Andrzej Pietraszek, Zygmunt Siermiński i Andrzej Szemis, 8.VIII. 1967. Droga częściowo nadzwyczaj trudna, 6 godzin.

W pn.-wsch. ścianie Pośredniego Gierlachu wyodrębniają się 2 wybitne żebra, przedzielone potężną rynną. Prawym z nich widać drogę WHP 1688. Nasza droga prowadzi w całości lewym żebrem, które na odcinku dolnych stu metrów ztraca się, opadając ku piargom eksponowanej, poprzątkanej trawkami ścianą.

Wejście mniej więcej w połowie podstawy wymienionej ściany, skąd biegnie w prawo dość szeroki trawiasto-piarżysty zachód. Zachodem tym 30 m i następnie w górę (dość trudno) na szeroki trawiasty taras, przecinający całą pn.-wsch. ścianę. Tarasem w górę pod pierwsze spiętrzenie żebra. Dalej trawiastą i kruchą rynną na lewo od ostrza żebra wprost w górę (bardzo trudno) na niewielkie siodełko w ostrzu.

Eksponowaną i poprzątkaną trawkami ścianą 30 m w górę i nieco w lewo (nadzwyczaj trudno) pod przewieszki z zaklinowanego bloku, przez którą wprost na wygodne stanowisko w kominku o kruchych skałach. Z niego w prawo na ostrze żebra i łatwiejszym terenem w kierunku bloku, który omijamy z lewej strony, dochodząc do przewieszki, przez którą z powrotem na krawędź żebra i nią cały czas w górę (miejscami trudno) na wygodne siodełko u stóp ściany szczytowej. (Na prawo stąd ztraca się w ścianie szczytowej potężna rynna przecinająca prawie całą pn.-wsch. ścianę) Z siodełka w górę i w prawo (trudno, kruczo) na grań szczytową, którą w 10 min na wierzchołek (odcinek ten pokrywa się z wariantem F i H drogi WHP 1688).

Uwaga: W trakcie przejścia, do kluczowych trudności napotymano liczne ślady bytności ludzi (m.in. haki z karabinkami, porzuconą linę), natomiast wyżej żadnych śladów nie było.

A. Szemis

## Taternicy na nartach

Przed sezonem zimowym 1967/68 warto przypomnieć przebieg i wyniki III (już!) Mistrzostw Narciarskich Klubu Wysokogórskiego, przeprowadzonych w marcu 1967 r. Z przyjemnością wypada stwierdzić, że śmiała inicjatywa nieodżałowanego Jurka Potockiego i grona jego najbliższych kolegów spotkała się z szerokim uznaniem i coroczne mistrzostwa stają się tradycją. Organizacją imprezy, podobnie jak w latach ubiegłych, zajęło się Koło Krakowskie KW, a szczególne zasługi dla sprawnego przygotowania zawodów położyły Alicja Bednarz i Zofia Gerlach. Protokolat nad III Mistrzostwami, też tradycyjnie, objął mgr Jerzy

Ustupski, znany taternik i prezes Okręgu Tatrzańskiego PZN. Kierownikiem zawodów był J. Kozłowski, kierownikiem konkurencji — H. Dereziński.

Na starcie slalomu giganta, który w niedzielę 12 III 1967 ustawiono w Kotle Gąsienicowym, stanęło 52 współzawodników (12 pań, 40 panów). Zawody rozegrano na silnie oblodzonej trasie i podczas przelotnej zadyмки, która nasiliła się zwłaszcza pod koniec imprezy. W tych warunkach swoją przewagę potwierdzili zakopiańczycy — Stefania Pychówna i Ryszard Berbek — mistrzowie narciarscy KW na rok 1967.

Wielu uczestników mimo upadków, defek-

tu wiązań itp. dało dowody prawdziwie sportowej postawy, nie wycofując się z trasy i kontynuując przejazd. Wszyscy startujący ukończyli konkurencję, co jest w dzisiejszym sporcie zjawiskiem bodaj unikalnym. A oto wyniki techniczne najlepszych zawodniczek i zawodników:

|                                  |          |
|----------------------------------|----------|
| 1. Stefania Pych (Zakopane)      | — 1.03,6 |
| 2. Anna Japa (Kraków)            | — 1.08,3 |
| 3. Aleksandra Łaptaś (Zakopane)  | — 1.11,3 |
| 4. Alicja Bednarz (Kraków)       | — 1.12,0 |
| 5. Jolanta Popowicz (Katowice)   | — 1.19,0 |
| 6. Krystyna Sałyga (Zakopane)    | — 1.22,5 |
| 7. Małgorzata Janicka (Katowice) | — 1.34,7 |
| 8. Halina Dobrowolska (Kraków)   | — 1.38,6 |
| 9. Zofia Gerlach (Kraków)        | — 1.46,8 |
| 10. Danuta Dorna (Katowice)      | — 1.47,1 |

|                                   |        |
|-----------------------------------|--------|
| 1. Ryszard Berbeka (Zakopane)     | — 55,1 |
| 2. Józef Uznański (Zakopane)      | — 56,1 |
| 2. Zdzisław Czarniak (Zakopane)   | — 57,4 |
| 4. Wojciech Bartkowski (Zakopane) | — 58,6 |

|                                   |          |
|-----------------------------------|----------|
| 5. Kazimierz Byrcyn (Zakopane)    | — 58,6   |
| 6. Andrzej Popowicz (Katowice)    | — 59,2   |
| 7. Stanisław Obrochta (Zakopane)  | — 59,9   |
| 8. Marian Kruczek (Zakopane)      | — 1.03,3 |
| 9. Maciej Zientkiewicz (Katowice) | — 1.05,1 |
| 10. Tadeusz Figus (Zakopane)      | — 1.06,0 |

Najlepszym ośrodkiem okazało się Koło Zakopiańskie — przed Kołem Krakowskim w konkurencji pań, i przed Katowickim wśród panów.

Uroczyste zakończenie Mistrzostw odbyło się w „Murowańcu”, którego gościnnie użyczył p. Drągowski. Przyjemność wręczenia 21 cennych nagród — ufundowanych przez Zarząd Główny KW, WKKFiT i KKKFiT w Krakowie, redakcje „Taternika” i „Taterniczka”, a nawet przez osoby prywatne — przypadła niżej podpisanemu.

Andrzej Paulo

## Taternictwo podziemne

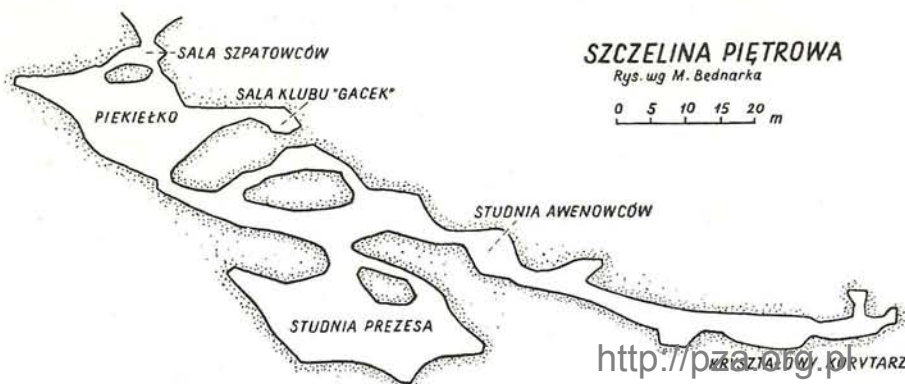
### Najcieńsza jaskinia Jury

Najciekawszym rezultatem akcji poszukiwania jaskiń, prowadzonej wiosną 1967 r. przez Speleoklub PTTK w Częstochowie na obszarze północnej części Jury, było odkrycie dużej jaskini nazwanej Szczeliną Piętrową. Odkrycia tego dokonali w dniu 24 III 1967 r. A. Wosiński i M. Zelechowski, członkowie 9-osobowego obozu poszukiwawczego działającego pod kierunkiem J. Radziejowskiego.

Jaskinia znajduje się w wapieniach góry Bukowiec (Mirowskiej), która posiada jeszcze kilka mniejszych jaskiń. Po wstępnym rekonesansie w głównym ciągu, przeprowadzonym przez odkrywców podczas pierwszego wejścia, zorganizowana została w dniu 9 IV większa wyprawa, w czasie której dokładniej zbadano jaskinię, wykonano pomiar i sporządzono plan.

Ciasny otwór znajduje się na dnie płytkiego leja na zalesionym północnym stoku niedaleko wierzchołka góry. Prowadzi on do obszernej salki, którą nazwano „Salą Szpatowców” (wszystkie nazwy nadali odkrywcy). Prawdopodobnie tylko dotąd dotarli poszukiwacze szpatu, którzy podobnie jak do

innych jaskiń, tak też i do tej wykopali otwór, o czym świadczy mała hałda rumoszu na brzegu leja. Z Sali Szpatowców droga prowadzi w dół, około 20-metrowej głębokości pionową szczeliną (Piekielko), miejscami wąską i uciążliwą podczas pokonywania jej do góry. Piekielko jest tylko małym fragmentem wielkiej szczeliny tektonicznej, na której niemal w całości rozwinięta jest jaskinia, tworząca zawiły system korytarzy, studzien i kominów, znajdujących się na różnych poziomach (stąd nazwa). Główny ciąg stanowi stale opadający szczelinowaty korytarz, kończący się dużą salą zasianą głazami. Wśród nich znajduje się wejście do kilkunastometrowego Korytarza Kryształowego, który odznacza się niespotykanym wśród jaskiń naszej Jury bogactwem nacieków. Przeważają krystaliczne niemal zupełnie przezroczyste stalaktyty z licznymi wyrostkami, wzajemnie połączonymi, dzięki czemu tworzą niezwykle efektowne struktury. Częste są na nich druzo kryształów kalcytu. Znajdują się tu również draperie, niewielkie stalagmity i stalagnaty. Korytarz Kryształowy stanowi pierwotną, nie zmienioną przez procesy zawaliskowe część jaskini, w której wszędzie wi-



dać ślady obrywów i dlatego ogólnie biorąc pozbawiona jest ona nacieków niemal zupełnie. Natomiast liczne fragmenty stalaktytów i stalagmitów, nierzadko o średnicy przeszło 30 cm, leżą wśród rumoszu, zalegającego dna korytarzy, świadcząc o dużym niegdyś bogactwie nacieków w całej jaskini. W nielicznych misach martwicowych w Studni Awenowców natrafiono na perły jaskiniowe. W głębi jaskini napotkano na zimujące w niewielkich koloniach nocki duże (*Myotis myotis*) i pojedyncze okazy nocków Natterera (*Myotis nattereri*) oraz podkowców małych (*Rhinolophus hipposideros*).

Wstępne pomiary wykazały, że najgłębszy punkt w jaskini znajduje się 52 m poniżej otworu (końcowe partie), a łączna długość korytarzy przekracza 300 m. Stawia to Szczelinę Piętrową wśród znanych jaskiń Wyżyny Krakowsko-Częstochowskiej na pierwszym miejscu pod względem głębokości (po Studnisku — 40 m), na trzecim zaś pod względem długości (po Wierzchowskiej Górnej — 640 m i Nietoperzowej — 376 m). Dokładny opis odkrycia będący zarazem pierwszą wzmianką o jaskini podali K. Mazik i J. Radziejowski w piśmie „Nad War-tą” 5/1967.

Andrzej Skalski

### Z Austrii

Górskie obszary Austrii obfitują w jaskinie, którymi żywiej zaczęto się interesować dopiero od niedawna. „Verband Oesterreichischer Höhlenforscher” jest związkiem skupiającym austriackich grotołazów. Liczy on około 800 członków i rozrasta się dość szybko. Wydawany przez niego kwartalnik „Die Höhle” (nakład 1700 egzemplarzy) jest zarazem organem speleologii zachodniemieckiej.

### Nowe kilometry w Hölloch

„Arbeitsgemeinschaft Höllochforschung” zawiązała się w r. 1949 i do 1960 była prowadzona przez H. Nünlistę, którego miejsce zajmuje obecnie prof. dr A. Bögli. Kwartalnik „Die Alpen” zamieszcza w ostatnim numerze (3/1967) duży artykuł omawiający wyniki badań jaskini Hölloch w latach 1961—67, w którym to okresie odkryto i zmierzono 19 km nowych korytarzy. Szczególnie bogate w wyniki były dwie ostatnie zimy. Aktualnie — stan na 15 III 1967 — najdłuższa jaskinia świata liczy 93 336 m długości, a różnica poziomów między najniższym i najwyższym punktem wynosi 577 m. W ostatnich latach dokonano tu ważnych dla nauki odkryć geologicznych. Stosunkowo najsłabiej poznana jest dotąd fauna jaskini, choć lista jej mieszkańców już wykazuje 38 gatunków, w tym 2 nie spotykane nigdzie indziej. Artykuł w „Die Alpen” uzupełniają 2 plany, przekrój geologiczny oraz kilka zdjęć.

### Spotkanie w Belgii

We wrześniu 1967 r. odbyło się w Han-sur Lesse (Belgia) duże międzynarodowe spotkanie speleologiczne, opatrzone kryptonimem „CISNA-67” (Colloque International de Spéléologie, prowincja Namur). W kolokwium, które poświęcone było różnym technikom eksploracji jaskiń oraz powiązaniom speleologii z innymi naukami i dziedzinami życia, wzięło udział 170 speleologów z 11 krajów Europy i Ameryki, przy czym Polskę reprezentował jeden tylko oficjalny delegat — Bernard Uchmański. Obszerniejsze omówienie tej bardzo interesującej imprezy zamieścimy w jednym z najbliższych numerów „Taternika”.

## Z życia Klubu Wysokogórskiego

### Estończycy w Tatrach

We wrześniu 1967 r. odwiedziła Tatry wycieczka alpinistów z Estońskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej. Dnia 10 IX odbyło się w Warszawie spotkanie tej grupy z przedstawicielami ZG KW oraz Koła Warszawskiego, a 19 IX urządzono dla niej pokaz naszych filmów górskich, na który złożyły się: „Hindukusz” S. Sprudina (1960), „Śniegi Wachanu” T. Gozdeckiego (1963) oraz krótkometrażówka „Dwóch” J. Surdela i Z. Kaliniewicza (1967). Przed projekcją Prezes KW, Cz. Bajer, omówił krótko polską działalność w Hindukuszu Afgańskim. Kierownikiem grupy estońskiej był inż.

Peeter Varep, który Tatry zwiedził już w r. 1938. „Giewont nad Zakopanem — mówi — był pierwszą górą mojego życia”. W r. 1958 poznał on w Kaukazie J. Wojsznisa, który opowiedział mu o swoim wejściu na Ojos del Salado w Andach.

W Tatrach nasi estońscy koledzy bawili krótko i zdążyli jedynie zwiedzić Giewont i Kasprowy. Na wspinaczki chcą się tu wybrać w najbliższym czasie.

### UIAA

Tegoroczne Zgromadzenie Plenarne UIAA odbyło się w dniach 7 i 8 X 1967 r. w Madrycie, wzo-

rowo zorganizowane przez Federację Espanola de Montanismo. Polski alpinizm reprezentował Antoni Janik. W posiedzeniu po raz pierwszy uczestniczyły delegacje Związku Radzieckiego i Stanów Zjednoczonych

### Tablica pamiątkowa S. Gronskiego

W dniu 16.IX.1967 r., w dziesiątą rocznicę śmierci Stanisława Gronskiego w masywie Mont Blanc, dokonano na symbolicznym cmentarzu pod Osterwą uroczystego odsłonięcia pamiątkowej tablicy, wykonanej według projektu

szczecińskiego rzeźbiarza Stanisława Bizka. W uroczystości, która została poprzedzona spotkaniem turystów górskich przy Popradzkiej Stawie, wzięli udział m. in. najbliższa rodzina, przedstawiciele Okręgowych Komisji Turystyki Górskiej ze środowiska szczecińskiego, krakowskiego, łódzkiego i lubelskiego, prezes Klubu Tatrzańskiego, kol. Grinn, sekretarz Zarządu Okręgu PTTK, kol. Polański, przewodniczący ZZ Kolejarzy, kol. Lach, przedstawiciele Koła Szczecińskiego KW (M. Rewaj i St. Matalewski), pp. Paryscy oraz licznie zgromadzeni przyjaciele i znajomi „Mojżesza“.

Stanisław Groński był założycielem koła Klubu Wysokogórskiego w Szczecinie, długoletnim działaczem PTTK i zasłużonym propagatorem turystyki na Pomorzu Zachodnim.

*Stefan Matalewski*

## II Konferencja Sportowa

W dniu 22.X.1967 r. odbyła się w Warszawie II Krajowa Konferencja Referatów Sportowych Kół i ZG Klubu Wysokogórskiego. Obradom przewodniczył wiceprezes KW, Andrzej Paczkowski. Na konferencji podsumowano wyniki lata górskiego 1967 oraz przedyskutowano najważniejsze zagadnienia związane z działalnością sportową członków KW. Zostały też omówione w ogólnym zarysie przygotowania do nadchodzącego sezonu zimowego — tatrzańskiego i alpejskiego.

Szczególnie ożywioną wymianę zdań wywołał problem rozpowszechnienia się w Tatrach tzw. „wędki“. Większość uczestników była negatywnie nastawiona do tego przyrządu. Zaproponowano m. in. wprowadzenie zasady nie uwzględniania przejść z „wędką“ w wykazach osiągnięć kwalifikujących na obozy zagraniczne. (as)

## Koło Warszawskie KW

Koło Warszawskie — najliczniejsze ze wszystkich kół KW — w letnim sezonie 1967 r. zorganizowało kurs instruktorski, który z pozytywnym wynikiem ukończyli H. Krüger, J. Krzysztoń i J. Kurczab. Został też przeprowadzony kurs teoretyczny i zajęta praktyczne w Skalkach Kroczy-

ckich, w wyniku których wyłoniono grupę kandydatów do 2 obozów tatrzańskich, odbywających się na Hali Gąsienicowej. W okresie letnio-jesiennym Zarząd Koła zorganizował 4 obozy w Tatrach Słowackich. Pięciu członków Koła brało udział w imprezach zagranicznych zorganizowanych przez Zarząd Główny KW, a mianowicie: Bergell-Bernina — 1 osoba, Alpy francuskie — 3 osoby, Alpy szwajcarskie — 1 osoba. W ramach wyjazdów indywidualnych w górach Turcji wspinano się 4 członków Koła, w Jugosławii — 5.

W Tatrach — w sezonie letnim 1967 — członkowie Koła poprowadzili 7 nowych dróg, dokonali też szeregu ciekawych powtórzeń po polskiej i słowackiej stronie.

Jesienią Zarząd Koła zorganizował serię odczytów i prelekcji, w których wystąpili: Góry Turcji — M. Popko; grupa Mont Blanc — J. Kurczab i M. Kozłowski; Bergell-Bernina — A. Skłodowski; Szwajcaria — K. Zdzitowiecki. Wszystkie odczyty ilustrowane były kolorowymi przeźroczkami.

*Ingeborga Doubrawa*

## Członkostwo KW

Ostatni Walny Zjazd Delegatów KW („Taternik“ 3,1967 s. 138—139) podjął uchwałę wprowadzającą pewne zmiany w warunkach, jakie należy spełniać, aby zostać członkiem Klubu Wysokogórskiego.

**Członkiem sympatykiem** może zostać każdy, kto:

1. ukończył 18 lat;
2. zgłosił na piśmie chęć należenia do Klubu, wypełniając odpowiednią deklarację;
3. zostanie przyjęty w poczet członków-sympatyków uchwałą Zarządu Koła, który przed jej podjęciem powinien poznać przygotowanie kandydata w zakresie turystyki wysokogórskiej.

**Członkiem uczestnikiem** może zostać każdy, kto:

1. ukończył 18 lat;
2. przeszedł drogi taternickie (alpinistyczne) o łącznym czasie przewodnikowym 10 godzin na drogach dość trudnych i 10 godzin na drogach trudnych

(nie biorąc pod uwagę dróg o skali wyższej);

3. zostanie przyjęty w poczet członków-uczestników uchwałą Zarządu Koła.

**Członkiem zwyczajnym** może zostać każdy, kto:

1. ukończył 21 lat;
2. uprawiał taternictwo (alpinizm) w ciągu 3 sezonów letnich i 1 zimowego (ew. letniego w górach lodowcowych) i przeszedł następujące drogi taternickie (alpinistyczne): a) 20 dróg dość trudnych lub trudnych o łącznym czasie przewodnikowym 30 godzin; b) 8 dróg przynajmniej trudnych przynajmniej 3-godzinnych, w tym przynajmniej 3 poza Tatrami Polskimi; c) 3 drogi przynajmniej bardzo trudne przynajmniej 3-godzinne; d) drogi zimowe (ew. letnie w górach lodowcowych) przynajmniej nieco trudne o łącznym czasie przewodnikowym 15 godzin; e) drogi zimowe (ew. letnie w górach lodowcowych) przynajmniej dość trudne o łącznym czasie przewodnikowym 5 godzin w tym 1 drogę przynajmniej 3-godzinną.

3. zda przed komisją, powołaną przez Zarząd Koła, egzamin teoretyczny z zakresu asekuracji, bezpieczeństwa i topografii Tatr;

4. zostanie przyjęty w poczet członków zwyczajnych uchwałą Zarządu Głównego na wniosek, uchwalony przez Zarząd Koła. Zarząd Główny KW może również mianować członkami zwyczajnymi Klubu osoby, które wykazały się inną działalnością w zakresie gór wysokich, ważną z punktu widzenia działalności i polityki KW.

**Członkiem honorowym** może zostać zasłużony działacz ruchu wysokogórskiego w drodze uchwały Walnego Zjazdu Delegatów.

Powyższa uchwała Walnego Zjazdu weszła w życie z dniem 1.VI.1967 r., a jednocześnie straciły moc obowiązującą wszystkie poprzednie uchwały i przepisy dotyczące tego tematu, w streszczeniu podane przez nas w numerze 1—2,1966 s. 57—58.

*J. Kowalczyk  
Z. Lesnobrański*

# Tatrzański Park Narodowy

## Ośrodek Informacyjny TPN

Tatrzański Park Narodowy od dawna już odczuwał brak bezpośredniego kontaktu z rzeszami tatrzańskich turystów i wspinaczy. Aby temu zaradzić, w r. 1965 powołano do życia Ośrodek Informacyjny TPN, który otrzymał siedzibę przy ruchliwym Rondzie (ul. Chałubińskiego 44) i czynny jest w godzinach od 8.30 do 16.45 (w zimie do godz. 15). W ośrodku można się dowiedzieć o wszystkim, co wiąże się z turystyką i sportami zimowymi nie tylko w Tatrach, ale i na ich szerokim przedpolu. Utrzymywana jest stała łączność z Wojewódzkim Ośrodkiem IT w Krakowie, a także z kierownictwem czeskosłowackiego TANAP. Ośrodek informuje o drogach letnich i zimowych, zakwaterowaniu, prognozach pogody, aktualnych przepisach porządkowych, rejestruje obserwacje przyrodnicze poczynione przez sympatyków TPN, prowadzi sprzedaż publikacji o Tatrach, urządza „spotkania przy kominku” z przewodnikami tatrzańskimi. W sezonie korzysta z niego ok. 200 turystów dziennie. Ośrodek świetnie prowadzi Maria Marchlewska, a nad całością prac czuwa z ramienia TPN Stefan Zwoliński.

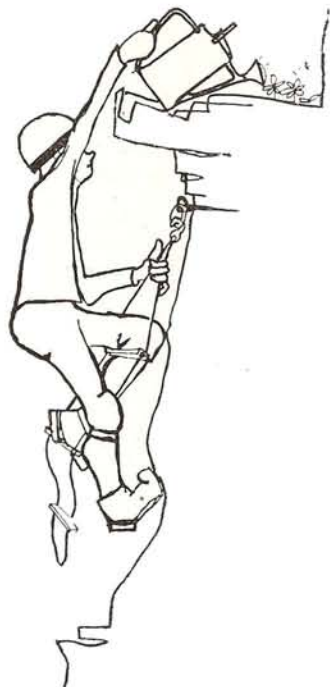
Halina Rząsa

### 30 lat temu...

W numerze z grudnia 1937 r. „Taternik” wprowadził po raz pierwszy stałą rubrykę „Sprawy ochrony przyrody Tatr”, mającą — jak napisała Redakcja — „w decydującym stadium walki o ochronę Tatr zaakcentować ochroniarские stanowisko całego czynnego taternictwa polskiego”. W rubryce tej (ss. 20—21) ukazały się notatki o ustąpieniu prof. dra W. Szafera ze stanowiska zastępcy przewodniczącego PROP, o ukończeniu „cęprostrady” na Szpiglasową Przełęcz (jesień 1937), o zmianach przy Łomnickim Stawie w związku z budową kolejki na Łomnicę, wreszcie o proteście miłośników gór z Poznania przeciwko aktom grożącym „unicestwieniem realizacji Parku Narodowego Tatrzańskiego”.

### „Kłęski żywiołowe w Tatrach”

Wystawa pod tym tytułem urządzona została w Ośrodku Służby Informacyjnej TPN w Zakopanem i czynna była od lata do października 1967 r. Złożyły się na nią zdjęcia Stefana i Zofii Zwolińskich oraz dyrektora TPN, mgra inż. Marcelego Marchlewskiego. Scenariusz opracował S. Zwoliński. W czę-



Rys. R. Riedler (Szwajcaria)  
„Alpinismus” 11/1967

ści pierwszej zobrazowane zostały różne kłęski elementarne nawiedzające Tatry, takie, jak: lawiny, huragany, powodzie (wspaniałe zdjęcia!), wyładowania elektryczne, osuwanie się gruntu. Znalazło się tu również pasterstwo, którego nadmierny rozwój przyczynił się do dewastacji roślinności halnej, a częściowo i leśnej. Część druga pokazywała, jakimi sposobami TPN usuwa zniszczenia, naprawia szkody i zapobiega im na przyszłość. Wystawa była bardzo pouczająca i cieszyła się dużym powodzeniem, zwłaszcza ze strony młodych turystów, którzy pilnie studiowali obszerne podpisy, komentujące poszczególne zjawiska i fotografie.

Halina Rząsa

### Góry na wysoki polysk

W czerwcowym zeszycie „Mitteilungen des DAV” ukazał się artykuł Hansa Dietmanna zatytułowany „Dbajcie o czystość szlaków i szczytów”. Autor zwraca się z tym wezwaniem zarówno do ludzi chodzących po górach, jak również do działaczy i pracowników DAV, m. in. do opiekunów schronisk, którzy często niedbale usuwają śmieci i odpadki, wrzucając je do potoków (!), lub zsypując na cuchnące sterty (obserwowaliśmy to sami np. przy popularnym *rifugio* „Auronzonzo” w Dolomitach). Jak stwierdza redak-

Zdjęcie obok: Świnica w jesiennym śniegu.

Fot. Ryszard Ziemak



cja „Mitteilungen” w numerze wrześniowym (5/1967), artykuł Dietmanna spotkał się z niezwykle żywym i pozytywnym oddźwiękiem wśród czytelników, którzy nadsyłają liczne konkretne propozycje. Problem ten był również omawiany na posiedzeniu ZG Klubu Wysokogórskiego w dniu 26 IX 1967 r. — postanowiono wystąpić z nim na forum UIAA, a Prezes KW, Czesław Bajer, wysunął m. in. projekt ustanowienia międzynarodowych „tygodni czystości gór”, które dałyby okazję do organizowania społecznych akcji porządkowania węzłów turystycznych i oczyszczania szczytów z śmieci, porzucanych przez niekulturalnych turystów. Warto dodać, że śmiećniska na popularnych wierzchołkach wypierają cenną roślinność turniową, co w Tatrach stwierdzono m. in. na Gierlachu, gdzie z ogółem 20 roślin wyższych w ostatnich 10 latach zanikły 3 gatunki, a kilkanaście obniżyło swój zasięg. (jn)

#### Taternicy — TPN i TANAP

Dziesięć lat temu, w dniach 11—13 X 1957 roku odbyło się w Łomnicy Tatrzańskiej drugie wspólne posiedzenie Rad obu Tatrzańskich Parków Narodowych — TPN i TANAP. Konferencja powzięła szereg uchwał, m. in. (w dziale III p. 6) następującą:

„Wszystkie sprawy dotyczące taternictwa na obszarze Parków (obozowanie itd.) mają być załatwiane z Dyrekcją Parków Narodowych przez władze centralne organizacji taternickich, a nie przez poszczególne oddziały lub sekcje (w Czechosłowacji — Ceskoslovenský svaz telesné výchovy, w Polsce — Zarząd Główny Klubu Wysokogórskiego)”.

Uchwały zostały ogłoszone m. in. w „Biuletynie Woj. Oddziału LOP w Krakowie” nry 11—12/1957 r.

#### Z Krupówek - Zdroju

Sezon letni przyniósł w Zakopanem mniej więcej to, czego oczekiwaliśmy — dalsze zgęstnienie: ludzi na chodnikach, samochodów na jezdniach, spalin w powietrzu. Za cały rok 1966 oszacowano ruch na 1 138 000 odwiedzających. Według obliczeń MKKFiT (na podstawie obserwacji obozowisk, miejsc noclegowych, obrotów itd.) wzrost ruchu w całym roku kalendarzowym 1967 należy ocenić na ok. 10 procent.

W stosunku do tej ilości odwiedzających, Zakopane posiadało (stan na I I 1967) ogółem 18 648 miejsc noclegowych, z czego w tzw. bazie otwartej tylko 2351 (wliczając schroniska w Tatrach). Nieurzędowe i nie-

pełne jeszcze obserwacje sezonu letniego 1967 wskazują na pewną poprawę w dziedzinie gastronomii i czystości miasta, ale na niezmienny stan rzeczy jeśli idzie o organizację ruchu turystycznego, gdzie nie widać żadnych istotniejszych ulepszeń.

(a. chow.)

#### Gdy zabrakło pnia limby

Ściany szczytu Peilstein w Austrii schodzą nisko w dolinę i są miejscami porośnięte pojedynczymi limbami. Na niektórych drogach wspinaczkowych limby te służyły od lat do asekuracji i do zakładania naturalnych stanowisk w ścianie. Znaleźli się jednak sportsmeni, którzy stwierdzili, że drzewa odbierają drogom „alpejski charakter” i usunęli niektóre z pomocą piły. Z tą nierozważną akcją wiąże OeTZ nr 10/1967 śmiertelny wypadek dwójki wspinaczy w dniu 3 IX 1967 r. „Droga — stwierdza pismo — pozostała drogą treningową, ale przez pozabawienie jej naturalnych punktów asekuracyjnych stała się znacznie bardziej niebezpieczna”.

#### Problemy TPN na zebraniu UIAA

Podczas tegorocznego Zgromadzenia Plenarnego UIAA w Madrycie (7 i 8 X 1967 r.) szeroko omawiano sprawy ochrony przyrody górskiej, przy czym punkt wyjścia dyskusji stanowił odczytany przez dra E. Wyss-Dunanta obszerny referat opracowany przez Przewodniczącego Komisji Ochrony Przyrody UIAA, prof. dra W. Goetla. W trakcie ożywionej wymiany zdań delegaci klubów zachodnich stawiali polskie przepisy dotyczące organizacji Tatrzańskiego Parku Narodowego oraz polsko-czechosłowacką współpracę na tym odcinku za wzór w warunkach alpejskich wprost trudny do urzeczywistnienia. Bardzo znamieną była wypowiedź jednego z delegatów, który stwierdził, że nadchodzi już czas, kiedy trzeba będzie się zająć „ochroną ludzi gór przed parkami narodowymi”, ponieważ na polu ograniczania ich swobód zdarzają się przegięcia, przekraczające granice zdrowego rozsądku. Do wypowiedzi tej ustosunkował się delegat Polski, mgr A. Janik, który powiedział, że w naszym kraju sprawa ta, jak dotąd, nie stała się problemem, a współpraca Klubu Wysokogórskiego z Tatrzańskim Parkiem Narodowym układa się od lat w sposób harmonijny i korzystny dla obydwu stron. Na marginesie referatu prof. Goetla zauważono, że UIAA nie może wchodzić w zakres kompetencji organizacji CIPRA i sprawami ochrony przyrody winna się zajmować tylko w ścisłym powiązaniu z praktyczną i sportową działalnością alpinistów. (A. Janik).

## Odmrożenia

Odmrożenia należą do wielkiego działu szkód termicznych. Nie należy ich mylić z ochłodzeniem, aczkolwiek to drugie występuje często równocześnie i jest, jeśli idzie o życie, znacznie bardziej niebezpieczne. W tym połączonym wypadku na pierwszy plan wysuwa się walka o utrzymanie życia przez ogrzanie najważniejszych organów, jak mózg, serce, płuca i trzewia: gorąca kąpiel, nagrzane prześcieradła i koce, termofory, „ciało do ciała”. Nie zapominać o środkach nasercowych i obwodowych.

Odmrożenia powstają przy działaniu niskich temperatur, przy czym wiatr, wilgoć i ucisk potęgują to działanie. Z okresu II wojny światowej znane są wypadki odmrożeń III stopnia, które na dużych wysokościach wystąpiły przy uszkodzeniu kabiny samolotu bojowego już w ciągu kilku sekund. Zimno i wilgoć działając w ciągu dłuższego okresu mogą spowodować tak zwaną „stopę okopową”, co jest równoznaczne ze zgorzelą stopy. „Stopa okopowa” spowodowana jest skurczem naczyniowym, natomiast odmrożenie wywołane jest zmarnięciem i tworzeniem się małych kryształków lodu w skórze i tkankach głębszych.

Na skutek działania niskich temperatur następuje odruchowy kurcz naczyń, powodujący — w zależności od natężenia i czasu działania — szkody odwracalne lub nieodwracalne.

Zapobieganie odmrożeniom jest prozaicznie proste. Obowiązuje tu kardynalna zasada: czyste, suche stopy oraz skarpety, a także wyeliminowanie wszelkiego ucisku (paski od raków, silnie zaciągnięte sznurowadła, podwiązki, pierścionki itp.). Tym, którym nogi się pocą, poleca się stosowanie spirytusu salicylowego z formaliną według recepty: formalini 4% — 10,0 oraz spiriti salicylici 2% — ad 100. Przed założeniem skarpet umyć nogi, a stopy i przestrzenie między palcami zasypać talkiem. Na zimowym biwaku, jeśli nie ma śpiwora, nogi należy wsunąć przynajmniej w plecak.

W razie wystąpienia pierwszych objawów marznięcia wykorzystać własne ciepło (pacha, pierś, brzuch, pachwina) i stosować ruchy czynne oraz masaż. Nigdy nie rozcierać śniegiem (!), co powoduje dalsze ochłodzenie i niszczy naskórek, otwierając wrota dla zakażenia. Lepiej jest zmienić skarpety i pozwolić poszkodowanemu na dalszy marsz (ruch czynny), niż transportować biernie le-

żącego pacjenta. Największe szkody powstają wówczas, gdy odmrożenie odtaje i wtórnie ulegnie zamrożeniu.

Stopień odmrożenia jest możliwy do ustalenia dopiero po upływie godzin, a nawet dni. Jeśli idzie o szkody termiczne, to operzenia w pierwszym okresie robią wrażenie znacznie bardziej dramatyczne niż odmrożenia, i w tym fakcie tkwi duże niebezpieczeństwo zbagatelizowania objawów. Odmrożenia dzielimy na cztery stopnie:

I stopień: zaczerwienienie, obrzęk, ból.

II stopień: działanie zimna obejmuje głębsze warstwy skóry. Po upływie 1—2 dni ukazują się pęcherze, wypełnione krwisto-surowicznym płynem (rozpad czerwonych ciałek krwi).

III stopień: zamrożenie sięga do podskórnej tkanki łącznej. Szaro-niebieskawe zabarwienie skóry bez pęcherzy, głęboka martwica. Powierzchnia skóry zimna. Obumarłe partie przybierają barwę czarną i po ukończonej demarkacji odpadają.

IV stopień: zalodzenie skóry, ścięgien, mięśni, nerwów, chrząstek i kości. Obumarcie kończyn na dużych odcinkach.

Leczenie odmrożeń należy rozpocząć od ogrzania tułowia oraz ruchów czynnych odmrożonych kończyn, które zanurzamy w kąpieli wodnej o temperaturze 10° C. Następnie co 5 minut podwyższać temperaturę o 5° C, lecz nie przekraczać 40° C. Gdy skóra zmięknie i zaróżowi się, delikatnie masować miękką tkaniną w kierunku serca. Skórę umyć mydłem i wykonać toaletę paznokci. Gdy kończyna odtaje, ułożyć ją wysoko w połowicznym zgięciu i chronić przed zimnem (opatrunek z jałowej gazy, na to wełna, wata), a także przed temperaturą przekraczającą 37° C. Zwracać baczną uwagę na częste ruchy czynne w stawach. Nad kończyną rozpiąć baldachim z jałowego prześcieradła, nie ugniatać ciężką koidrą! Przy zachowaniu pełnej sterylności można też z powodzeniem stosować leczenie bezopatrunkowe.

Pęcherzy nie nakłuwać i nie nacinać. Jeśli są pod silnym napięciem, spunktować je przez zdrową skórę. Pęknięte pęcherze usunąć sterylnie w całości i przemyć wodą utlenioną. Rany pokryć jałową folią srebrną lub aluminiową, albo zastosować wysuszający

biełkit goryczki lub merkurochrom. Między ocierające się o siebie powierzchnie wsunąć jałowe gaziki. Przy ranach zakaźnych maść aureomycynowa. Od II do IV stopnia obwiązuje surowica przeciwtężcowa i osłona antybiotykowa. Należy zwrócić uwagę na możliwość wystąpienia zgorzeli gazowej.

Zasadą postępowania przy III i IV stopniu jest utrzymanie suchej martwicy i mumifikacji, a niedopuszczenie do martwicy wilgotnej. Ostatnim etapem leczenia jest amputacja, wykonywana dopiero po całkowitej demarkacji (zakończenie procesu obumierania), przeszczepy, zabiegi operacyjne na układzie współczulnym, fizykoterapia dopingująca grę naczynioruchową i w końcu protezowanie.

W okresie powojennym osiągnięto duży postęp w zapobieganiu i leczeniu odmrożeń, stosując środki rozszerzające naczynia (ronicol, prisol, nicotol, pridazol, nicodacid). Ronicol retard (1 pastylka — 150 mg) zastosowałem u siebie w sierpniu 1966 r., gdy

przy wejściu na Weissmies (4027 m) zacząłem tracić czucie w palcach u nóg. Wynik był frapujący — po kilku minutach wystąpiło uczucie ciepła i swobodna ruchomość zesztywniałych palców. Pridazol i nicotol są środkami produkcji krajowej — pierwszy z nich stosuje się w ilości do 4 tabletek po 25 mg dziennie, drugi — do 8 tabletek po 25 mg. W dobie obecnej środka rozszerzające powinny znajdować się obowiązkowo w podręcznej apteczce każdego alpinisty. Uważać na przedawkowanie!

W warunkach klinicznych a nawet terenowych (dr Oudot na Annapurnie!) bardzo dobre wyniki daje dotętnicze wstrzykiwanie środków rozszerzających — z czym nie należy zwlekać — a także podawanie gorącej herbaty z alkoholem.

Literatura: Rudolf Campbell: Ueber die Behandlung von Kälteschäden. „Die Alpen” 2/1967.

Jerzy Hajdukiewicz

### Pod znakiem szkolenia

Dnia 27 X 1967 r. odbyło się w Dworcu Tatrzańskim zebranie sprawozdawcze Zarządu Grupy Tatrzańskiej GOPR, obejmujące roczny okres — bogaty w działalność ratowniczą i szkoleniową (m. in. nauka nurkowania w Morskim Oku, w październiku treningowa wyprawa do Jaskini Snieżnej). Szkolenie ratowników-ochotników i kandydatów prowadzone było przez 16 niedziel sezonu letniego 1967 — przeszkolono 35 osób. W sprawozdaniu podkreślono, że Grupa Tatrzańska przykłada dużą wagę do indywidualnej działalności wspinaczkowej członków GOPR. Fakt, że o ratownikach coraz częściej mówi się jako o „wspinaczach, że ratownicy zawodowi i czynni ochotnicy biorą udział w wyprawach alpinistycznych — jest ważnym momentem szkoleniowym i propagandowym.

Następnego dnia w godzinach wieczornych rozpoczął się w „Murowańcu” tradycyjny Dzień Ratownika Grupy Tatrzańskiej GOPR, który trwał do deszczowego popołudnia niedzielnego 30 X 1967 r. (M. Jagiełło)

### Biwak w jamie śnieżnej

W końcu czerwca 1966 r. burza śnieżna zaskoczyła czterech młodych turystów górskich na lodowczyku Hochfirn pod szczytem Jungfrau. Wykopali oni czekaniami jamę śnieżną o pojemności 3—4 m<sup>3</sup>, do której

wsunęli się, by przeczekać nadchodzącą noc. Otwór jamy zastawili plecakiem. Zmęczeni zasnęli i... nie obudzili się więcej. W biuletynie „Die Alpen” 9/1967 dr W. Grütter komentuje ten wypadek: wydzielane przez alpinistów ciepło spowodowało stopnienie się ścianek jamy i pokrycie ich warstewką mokrego lodu, nie przepuszczającą powietrza. Jednocześnie wiatr nabił śniegu w otwór, który uległ całkowitemu zamknięciu. Brak dopływu świeżego powietrza, a w nim tlenu, spowodował śmierć całej czwórki. Szukając schronienia w jamie śnieżnej należy w ciągu nocy stale kontrolować jej wietrzenie i zawartość tlenu w powietrzu, np. z pomocą palącej się świecy.

### Zawiniłeś — płąć!

Najnowsze słowackie publikacje przewodnikowe mówiąc o sprawach bezpieczeństwa w górach, powołują się już na obwieśzczenie Miejskiej Rady Narodowej w Smokowcu z dnia 21 VII 1965 r., postanawiające m. in., że „osoba, która uległa wypadkowi wskutek lekkomyślności, braku zdyscyplinowania, nieprzestrzegania przepisów niniejszego zarządzenia lub zakazu czy ostrzeżenia ze strony HS TANAP — zobowiązana jest do zwrotu kosztów akcji ratunkowej, stosownie do okoliczności — w wymiarze pełnym lub częściowo”. Ze sprawozdań z działalności ratowników słowackich, publikowanych na łamach czasopisma „Vysoké

Tatry" widać, iż z uprawnień wynikających z powyższego paragrafu skorzystano już kilkakrotnie. Polska praktyka nie zna dotychczas takiego ujęcia odpowiedzialności za wypadek zawiniony, a wprowadzenie w życie podobnej zasady wydaje się być dy-

kusyjne. Istnieje bowiem groźba, że obawa przed finansowymi konsekwencjami wezwania pogotowia może popchnąć turystę do szukania ocalenia na własną rękę i za wszelką cenę — a nie o to nam chyba chodzi. (Józef Ciągwa)

## Z piśmiennictwa

Walter Bonatti: *Moje góry*. Przekład Bronisława Norton. Wydawnictwo „Iskry”, Warszawa 1967, s. 267. Cena zł. 17.

„Sięgnąłem (...) po pióro nie jako pisarz, lecz jako alpinista, który jest przekonany, że poznał góry na tyle, by móc o nich mówić” — pisze Bonatti w przedmowie do swej książki, a te jego słowa mają o tyle istotne znaczenie, że w znacznym stopniu usprawiedliwiają pewne słabości „Moich gór”. Książka Bonattiego budzi sprzeczne refleksje — i w świetle owej uwagi autora wytlumaczalnym staje się, dlaczego pomieszczone w tomie reportaże często nie wykraczają poza granice literackiego stereotypu, chociaż przykłady znakomych tradycji literatury alpinistycznej dowodnie mówią, że niejednokrotnie zdarzało się, iż znakomity alpinista był zarazem i dobrym pisarzem. Ale Bonatti pisarzem nie jest — a mimo to obok wspomnień niezbyt ciekawych i tracących monotonią („Bregaglia — trzy północne ściany”) trafiają się tu fragmenty pełne tak autentycznego dramatyzmu, że czyta się je z przyswojonym zapartym tchem, w czym zresztą być może większą rolę miał dramatyzm faktów rzeczywistych, niż pisarskie kwalifikacje autora — a mam tu na myśli „Południowo-zachodni filar Dru”, i „Z włoską wyprawą na K 2”, i — oczywiście — szczególnie dla nas interesujący „Centralny Filar Freney”.

Istota wartości książki Bonattiego, wartości — dodajmy — bezsprzecznych, da się rozpatrywać w dwu aspektach. Rozwodenie się nad pierwszym oznaczałoby przypominanie truizmów: wszak poprzez publikację tej książki czytelnikowi polskiemu przedstawiony został bliżej jeden z najwybitniejszych ma światie alpinistów, którego osiągnięcia odbijały się echem nawet w naszych gazetach i tygodnikach („Przekroć”) poświęcił spory artykuł zdobyciu filara Dru przez Bonattiego, wiele pisano o jego zimowym przejściu na Matterhornie).

Aspekt drugi ma znaczenie wręcz już specjalistyczne, ściśle alpinistyczne, choć i jego ranga może być poważniejsza niż przypuszczam. Idzie mianowicie o górska

ideologię autora, o jego alpinistyczną i alpejską filozofię, która choć wyrażona i przedstawiona w sposób tracący deklaratywnością, musi wzbudzić głębsze zainteresowanie. Bonatti jest bowiem jednym z najbardziej reprezentatywnych przedstawicieli współczesnego alpinizmu wyczynowego i to w jego skrajnej odmianie. Nie przeszkadza to jednak faktowi, że owe filozoficzne poglądy Bonattiego mają wiele cech wspólnych z ideologią włoskiego alpinizmu heroicznego lat trzydziestych — w czym również nie ma niczego dziwnego, sam bowiem Bonatti nie na jednym miejscu podkreśla swój osobisty związek z włoskimi tradycjami alpinistycznymi. Ale jego indywidualność jest przy tym na tyle silna, że przewycięża i przelamuje konwencjonalne ramy takiej czy innej ideologii, u podstaw bowiem całego zagadnienia leży w wypadku autora książkę poczucie głębokiego związku uczuciowego z górami, związku zamianistowanego już w tytule: „Moje góry”! Bonatti ze zdumiewającą szczerością pokazuje, jaką rolę odgrywają w jego życiu góry, rozumując jednocześnie w sposób znamionujący ludzi prostolinijnych, że ponieważ są one głównym czynnikiem konstruktywnym w jego życiu, przeto są też i sprawą zwyczajną — choć niezbędną.

A na dodatek alpinistyczny ekstremalizm autora podbarwiany bywa dosyć silnie elementami o odmiennym charakterze, warto zatem zwrócić uwagę na to, że w jego pojmowaniu alpinizm jest syntezą walki, przygody, romantyzmu, ucieczki i sportu. Takie rozumienie alpinizmu wskazuje zaś wyraźnie, że można Bonattiego określić mianem kontynuatora najlepszych tradycji alpejskich, którym drogi rozwoju wytyczały zawsze przesłanki głęboko człowiecze. Formuła Bonattiego jest przy tym wręcz nowoczesna — i ten moment również nakazuje przemyślenie jego poglądów na istotę alpinizmu, można się bowiem od niego wiele nauczyć. Uważny a zainteresowany tą problematyką czytelnik znajdzie tu zresztą sporo uwag skłaniających do refleksji, przy czym za jeden z ciekawszych problemów tego typu uznać można sprawę — bardzo

dzisiaj dla nas aktualną — dopuszczalnych granic stosowania sztucznych ułatwień we wspinaczce. Wbrew temu, czego można by się spodziewać, poglądy Bonattiego są w tej dziedzinie dosyć ortodoksyjne. Biorąc tedy rzecz summa summarum stwierdzić trzeba, że dobrze się stało, iż doczekaliśmy się — wreszcie — tej od dawna oczekiwanej pozycji.

Jacek Kołbuszewski

Tytuł oryginału: „*Le mie montagne*”, wyd. N. Zanichelli, Bologna, s. 299. Kolejne wydania: 1961, 1962, 1963, 1964, 1966. Około 45 zdjęć, w tym 35 kolorowych, mapki. W polskim przekładzie dokonano znacznych skrótów (co nie zostało w książce zaznaczone), m. in. pominięto rozdziały: *W zimie przez północne ściany Tre Cime di Lavaredo; Na nartach graniami Alp; 18 000 metrów w cztery i pół dnia*. Książka została przetłumaczona na szereg języków, ostatnio ukazał się m. in. przekład słowacki („*Vrchy, moje vrchy*”, tłum. St. Kyska, wyd. „Sport”, Bratislava 1967). (Redakcja).

Gaston Rébuffat: *Cervin cime exemplaire*. Librairie Hachette, Paris 1965; s. 221.

Wśród licznych książek, jakie ukazywały się na setną rocznicę pierwszego wejścia na Matterhorn, wyróżnia się książka Gastona Rébuffata, która zawiera historię zmagania człowieka z najpiękniejszą górą Alp — od czasów pierwszej, tragicznej wyprawy E. Whympera, aż do czasów współczesnych.

Książka składa się z pięciu części. W kolejnych rozdziałach autor omawia historię poszczególnych wypraw alpinistycznych, podaje opisy przejść letnich i zimowych. Obok niezwykle ciekawej treści, uwagę czytelnika zwraca piękna szata graficzna książki, na którą składają się: artystyczne fotografie Matterhornu, rysunki o wartości historycznego dokumentu „braz litografii z kolekcji A. Wahla, P. Pauta i E. Gosa.

Czytelników nie znających francuskiego może zainteresować to, że książka Rébuffata została przetłumaczona i na inne języki, m. in. na angielski („*Men and the Mat-*

terhorn, 1967) oraz na niemiecki („Das Matterhorn, Epos eines Zauberberges“, Zürich 1965).

Hanna Namowicz

**Alistair MacLean: Działa Nawarony, (The Guns of Navarone).** Tłum. Adam Kaska. Wydawnictwo „Iskry“, Warszawa 1967; s. 286. Cena zł 18.

Pięciu żołnierzy służby specjalnej podejmuje zadanie zniszczenia baterii hitlerowskich armat, przy czym na wyspie Nawarona u brzegów Turcji. Poniżej jedyna droga na wyspę wiedzie przez skalne urwisko, przeprowadzenie akcji zostaje powierzone kapitanowi Keithowi Mallory'emu — „największemu współczesnemu alpinście świata“. Taka jest fabularna osnowa tej sensacyjnej powieści, zachłannie u nas czytanej i z uznaniem recenzowanej w najpoważniejszych nawet pismach.

Jako czytelnik znający się trochę na praktyce dywersji i trochę na alpinizmie, nie mogę nieestety dołączyć się do ogólnego chóru pochwał i zachwyty. Jeśli chodzi o stronę wojskową, autor wyraźnie przeszarżował w piętrzeniu przeszkód na drodze dzielnej piątki, co się zaś tyczy alpinizmu — o tej dziedzinie nie ma on pojęcia najmniejszego, podobnie zresztą jak i tłumacz książki. Wspaniały Keith Mallory forsuje urwisko w nocy, w ulewie i burzy, za to na 120-metrowej linii przepiecionej stalowym drutem (!) i w podartych skarpetkach, aby mu łatwiej było wcisnąć palce stóp w małeńkie skalne szczeliny. Młotek i „setkę haków“ zatyka po prostu za wojskowy pas ze sprzączką, zresztą w najtrudniejszej partii młotek przestaje mu być potrzebny, gdyż aby nie robić hałasu, haki... wciska rękami.

Miło natomiast uderza wyraźnie ciepły stosunek MacLeana do ludzi gór, przebijający w wielu miejscach książki. Nawet niemieccy „Alpenjäger“ są lepsi od innych Niemców, a ich porucznik Turzig zostaje wyposażony w rysy prawie że sympatyczne.

Józef Nyka

**Lexique des termes alpins. Wörterbuch für Bergsteiger.** Editions du CAS, 1966. Cena dla członków Klubu Fr. 4,25.

Club Alpin Suisse wydał własnym nakładem mały słownik wyrazów i wyrażeń alpinistycznych, mający przede wszystkim ułatwić korzystanie z literatury i przewodników. Dla każdego z 4 języków (francuski, niemiecki, angielski i włoski) wydrukowano oddzielny zeszycik — na papierze biblijnym, w podręcznym kieszonkowym formacie. Inicjatorem tego nader pożytecznego wydawnictwa jest były redaktor „Die Alpen“, M. Oechslin.

**Barbara Szacka: Stanisław Staszic.** Państw. Instytut Wydawniczy, Warszawa 1966; s. 270. Cena zł 30.

Stanisław Staszic uważany jest za ojca tatarnictwa polskiego, dlatego zwracamy uwagę na tę biografię, trafnie kreślącą jego ciekawą sylwetkę — na tle nie mniej ciekawej epoki. O wędrowcach Staszica po Tatrach autorka mówi dość obszernie, choć w sposób w niczym nie odbiegający od dotychczasowych ustaleń i nawiętnie.

**Toni Hiebeler: Eiger, parete nord.** Wyd. Tamari, Bologna 1967; s. 320. Cena L. 2200.

Książka, którą zrecenzowaliśmy w „Taterniku“ 1—2/1964 s. 58—59, robi światową karierę. Niedawno ukazała się w przekładzie francuskim („Combats pour l'Eiger“, wyd. Arthaud, 1963), a ostatnio również we włoskim. Kolejne edycje autor pedantycznie aktualizuje, doprowadzając je do stanu dosłownie z ostatniego miesiąca.

**Zofia Radwańska-Paryska: Rośliny tatrzańskie.** Państw. Zakłady Wydawnictw Szkolnych, Warszawa 1966; s. 170. Cena zł 30.

W serii atlasów botanicznych PZWS ukazało się II wydanie tej pożytecznej książeczki, która od kilku lat dobrze służy turystom na tatrzańskich szlakach. Obejmuje 60 roślin — tych najbardziej typowych i tych najłatwiej rozpoznających się w oczy — uporządkowanych według „kołoru kwiatów, gdyż to jest cechą dla ludzi nie obznajmionych z botaniczną systematyką najłatwiej uchwytna. Każdej z barwnych rycin towarzyszy zwięzły opis charakterystycznych roślin i ułatwiający jej użyczenie. Część ilustracyjna poprzedza popularnie napisany wstęp omawiający podstawowe zagadnienia flory Tatr.

Pierwsze wydanie atlasiku ukazało się w r. 1961 w identycznej objętości — wzmiankowaliśmy je w „Taterniku“ 1—2/1963 s. 69.

**Piero Rossi: Accordino.** Wyd. Tamari, Bologna 1967; s. 320. Cena L. 6000.

Efektownie wydana monografia ilustracyjna sławiąca uroki jednej z najciekawszych i najpiękniejszych dolin Dolomitów, sięgającej od południa pod stopy Civetty, Monte Pelmo i Marmolaty. 200 zdjęć czarnobiałych i 8 kolorowych, tekst tłumaczony na 4 języki.

**Wierchy. Rocznik poświęcony górcom.** Rok 35 (1966) Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Kraków 1967. s. 353. Cena zł 60. Redaktor: Władysław Krygowski.

Jak zawsze bogaty w treść rocznik 1966 „Wierchów“ (ogólnego zbioru tom 73) otwierają dwa ma-

teriały: redakcyjny okolicznościowy (Tysiąclecie!) i drugi, Walerego Goetla „O właściwą drogę turystyki górskiej w Polsce“ — omawiające, w różnym ujęciu, ten sam aktualny dziś temat. Turystyka bierna i czynna, starania o równowagę pomiędzy uprzęśnieniem a chronieniem, recepcja milionowych mas ludzkich w terenach górskich. Prof. Goetl omawia te sprawy, coraz bardziej istotne także dla nielicznego procentowo środowiska tatarniczkiego, na przykładzie odcinkowym — problematyczne motoryzacji. Może to najlepsze, najbardziej zrozumiałe, przekonywujące; w owej dziedzinie postęp chyba najbardziej przemieszcza się z pseudopostępem, ale też i stosunkowo szybko ujawniło się zrozumienie, czym jest jedno i drugie.

Zachęcając do lektury i prze-myślenia tych interesujących i przekonywujących pisanych materiałów, trzeba tu także odnotować ważną i barwnie ujętą relację Ryszarda Zawadzkiego z II przejścia drogi Bonattiego na Wielkim Filarze Naroznym (w „Taterniku“ 1—2/1966 pisał o nim A. Zawada). Spośród materiałów historycznych należy wymienić przede wszystkim opracowanie „Karol Bohdanowicz w Kuen Lunu“ pióra B. Chwaścińskiego. Doprawdy pasjonująca jest lektura mówiąca o wyprawie zmarłego w 1947 r. geologa polskiego w to potężne, 3000-kilometrowej długości pasmo górskie, przekraczające wysokość 7000 m — w góry dziś niedostępne z uwagi na sytuację polityczną na pograniczu chińskim, ale i zawsze wabiące tajemniczością, jako jeden z najsłabiej poznanych łańcuchów górskich na kuli ziemskiej. Czyż nie tu doszukiwano się kiedyś szczytu wyższego od Everestu? Z żywą przyjemnością więc zbliżyliśmy się do nich choć poprzez te relacje, napisaną sumiennie i wyczerpująco, w sposób charakterystyczny dla opracowań Chwaścińskiego. Nawiasem mówiąc, warto by owa metoda opracowania zwrócić uwagę autorzy niektórych innych publikacji o zbliżonym charakterze, nieco rozwlekłych i jakże często powierzchownych. Korzystać z dobrych przykładów i uczyć się nie hańba...

Miłośnicy górskiej przeszłości z zaciękawieniem przeczytają też wspomnienia J. Młodziejewskiego o Tadeuszu Zwolińskim, bądź przypomnienie osoby i dorobku malarskiego Alfreda Schouppé. By wrócić zaś do teraźniejszości — „Listy z Bieszczadów“ W. Krygowskiego, które to strony spośród gór niższych najbardziej są dzisiaj chyba cenione i odwiedzane przez ludzi gór wysokich. Sezony tatarnicze wnikliwie omawia A. Paczkowski (ss. 233—236), w dziale „Sprawy alpinistyczne“ pisał m.in. M. Kozłowski, A. Bałanda, B. Goch, B. Chwaściński, M. Pooko i A. Kwiatkowski (ss 243—260).

Nie wyczerpuje to oczywiście bynajmniej treści 350-stronicowego rocznika. Jak zawsze jest ona bogata i różnorodna — i jak zawsze, dokonawszy wyboru wśród niepoliczonych przyczynków, wzmianek, przeglądów, kronik polskich i światowych, wzbogacimy nią swoją wiedzę górską, w dziedzinie szczególnie nas interesujących.

Adam Chowański

**Pobieżdiennye Wierszyny**, lata 1961—1964. Sbornik sovietskogo alpinizma, Moskwa 1966; s. 420.

W lutym 1967 r. dotarł do naszych rąk kolejny tom „Pobieżdiennych Wierszyn”, obejmujący formalnie materiały z lat 1961—1964. Zebrane w nim artykuły utworzyły obszerną książkę. Ich tematyczne różnicowanie skłania redakcję tomu do wyodrębnienia szeregu rozdziałów, jak „Ekspedycje” (s. 5), „Wejścia sportowe” (s. 107), „Nauka i alpinizm” (s. 165), „Doświadczenie i praktyka” (s. 227), „Za granicą” (s. 261), „Personalia” (s. 337), „Krytyka i bibliografia” (s. 335), „Materiały informacyjne” (s. 385).

W pierwszym z wymienionych działów zwraca uwagę artykuł E. Hippenreitera i A. Owczinnikowa „Flagi dwóch krajów nad Pamiarem” (s. 58), omawiający sławną radziecko-brytyjską ekspedycję na Szczyt Komunizmu. W następnym dziele czytamy o sukcesach radzieckiego alpinizmu zimowego; W. Kawunienko opowiada o pierwszym zimowym wejściu na oba wieżchołki Uszby w lutym 1965 r. (granica od „Poduszki”), a J. Arutinow — o poprawadzeniu w marcu 1965 r. nowej drogi na pn. ścianie Uilu-Tau (którędy?).

W dziale „Nauka i alpinizm” dwa ciekawe artykuły zamieścił K. Rototajew. Pierwszy z nich dotyczy przyczyn znanej katastrofy w dolinie Wanczu na Pamirze, która nastąpiła w maju 1963 r. wskutek nagłej zmiany szybkości pscuwania się lodowca Międwizy. Drugi artykuł, szczególnie ważny dla wszystkich, którzy interesują się Kaukazem, stanowi próbę językoznawczej analizy kaukaskich nazw topograficznych. Zawiera on również dane o pierwszych wejściach na omawiane przez autora szczyty.

Artykuł A. Poliakowa „Międzynarodowe kontakty radzieckich alpinistów” (s. 247) zdaje się świadczyć o tym, że w Związku Radzieckim do kontaktów tych zaczyna się przywiązywać coraz większą wagę. Przemawia za tym również fakt zamieszczenia wypowiedzi R. Leiningera o alpinizmie wśród robotników francuskich (s. 293) oraz K. Richtera o alpinistach NRD (s. 295).

Obszernie zostały omówione ostatnie osiągnięcia światowego himalaizmu. Na szczególną uwagę

zasługują zebrany przez F. i K. Kropfów materiał dotyczący pierwszych wejść na 8- i 7-tysięczniki w latach 1907—1965. Cenne materiały zawiera także ostatni rozdział tomu — podano w nim wykaz najważniejszych przejść w górach Związku Radzieckiego w latach 1959—1961 (wymienione są m.in. polskie przejścia na Kaukazie w r. 1961). Załączono również chronologiczny wykaz pierwszych wejść i wejść nowymi drogami na szczyty ZSRR przewyższające 6500 m (lata 1928—1964).

W sumie zbiór prezentuje się okazale, jednakże czytelnikowi przyzwyczajonemu do innych schematów publicystyki górskiej brakuje w nim konkretnych danych o samych przejściach i o górach Kraju Rad. Wciąż za mało jest w „Pobieżdiennych Wierszynach” dobrych zdjęć, rysunków i szkiców. Z toku mocno zbeletryzowanej narracji, na którą autorzy artykułów kładą na ogół główny nacisk, trudno wyłowić fakty mówiące o miejscu opisywanej akcji językiem itinerariów, o rzeczywiście, nie literacko-subiektywnie oddawanych trudnościach. Poza tym kwestia aktualności — nie jest dobrze. Jeśli w publikacji z 1966 roku podaje się materiały odnoszące do r. 1959, a także opóźnienie jest w „Pobieżdiennych Wierszynach” nie wyjątkiem, lecz regułą.

W Związku Radzieckim alpinistów liczy się na dziesiątki tysięcy. Jednym ich organem są „Pobieżdiennye Wierszyny”, ukazujące się co kilka lat (poprzedni zbiór — 1963 r.). Warto zwrócić uwagę, że zawartość jednego ich tomu jest mniejsza, niż rocznika „Vysokie Tatry” czy „Taternika”. Przewidziano należy, że nie tylko radzieccy alpinści przyieliby z radością wiadomość o powstaniu nowego ich pisma (kwartalnika?), zbliżonego profilem do innych wydawnictw alpinistycznych o znacznie krótszym cyklu produkcyjnym, tym bardziej, że potrzeba istnienia takiego organu odczuwa się coraz wyraźniej.

Maciej Popko

**Taterniczek**. Powielany organ Kola Krakowskiego KW, wydawany na prawach rękopisu Nry 7-11, maj 1965 — luty 1967. Redaktor naczelny: Jerzy Potocki. Omówienie poprzednich numerów: „Taternik” 3-4/1964 s. 126.

„Taterniczek”, który przed zaledwie 4 lata wyrósł z tradycji dawnego „Biuletynu” Kola Krakowskiego KW, stał się już wcale poważną instytucją. Zajmuje się sprawami nie tylko lokalnymi, ma szerokie grono autorów i czytelników, a nakład dochodzący do 200 egzemplarzy jest absolutnie niewystarczający.

Zasługa to redakcji, starannie dobierającej materiał, umiejącej

zapewnić sobie współpracę nie tylko najlepszych klubowych piór, ale nawet takich sław, jak n. p. J. J. Szczepański. Uwagę zwraca również ambitny poziom edytorski pisma. Nie jest to przesada; numer jubileuszowy z zajmującym całą stroną zdjęciem krakowskiego „zaczarowanego dorożkarza”, Jana Kaczary, który na tle Bramy Floriańskiej zagłębia się w lekturze „Taterniczka”, to prawdziwy wydawniczy majstersztyk.

Cóż więc przeczytać możemy w omawianych zeszytach pisma? A więc przede wszystkim najaktualniejsze i na ogół dobrze pisane relacje z największych osiągnięć naszych kadrowców; dalej kroniki obozów tatrzańskich i alpejskich oraz publicystyczne i kronikarskie omówienia sezonów. Nie brak również próbek literatury pięknej. W numerze 7 reprezentują ją opowiadania A. Grossmana „Problem” i J. Potockiego „Epizod Alpejski”, gdzie indziej świetne humoreski Stanisława Urbańskiego od lat z uporem marnującego swój niewątpliwie talent satyryczny. Niezwykle cenną i potrzebną publikacją jest zamieszczona w numerze 8-9 analiza wypadków taternickich w Tatrach Polskich, sporządzona przez Michała Jagiellę. Trudno zresztą omówić tu wszystkie ważniejsze artykuły i publikacje zawarte na 150 stronach czterech zeszytów — jedno jest pewne: jeśli ktoś chce być szybko, rzetelnie, a zarazem ciekawie i nie nużąc poinformowany o tym, co działo się „nasi” w Tatrach i poza Tatrami, niech sięga po „Taterniczka”. Czeką go w nim zresztą także pewna niespodzianka: do każdego numeru na wkładce ozalidowej dodawane są schematy najciekawszych nowych dróg sezonu. Zanim szacowny „Taternik” zdąży być zamieszczone, czytelnicy „Taterniczka” mogą zostać autorami pierwszych powtórzeń letnich, czy jeszcze wyżej cenionych — pierwszych przejść zimowych.

„Taterniczek” nie byłby „Taterniczkiem” bez szeroko rozbudowanej kroniki towarzyskiej. Jakim powodzeniem cieszy się ona w naszych zinstytucjonalizowanych czasach dowiodła prosta statystyka: na 20 obserwowanych osób, 18 lekturę rozpoczęło od tej własnej rubryki. Oto mała przedrukowana z niej ciekawostka: „Na jednym z dostarczonych do sekretariatu Kola wykazów wejść znaleźliśmy następujące pozycje: Lewi Wrześniacy na Zamarłej, Kiszkańt na Mieguszu, Aligator na Mnichu”. Jak z tego widać niektórych koleży propagowaną przez „Taterniczka” familiarność zbyt bardzo biorą sobie do serca.

W końcu lutego 1967 r. otrzymaliśmy czytelnicy jedenasty z kolei numer pisma. Numer niestety odmienny od dotychczasowych; poświęcony pamięci tragicznie zmarłego współzałożyciela i redaktora

naczelnego „Taterniczka”, Jerzego Potockiego. Strata to dla krakowskiego pisemka wyjątkowo bolesna, miejmy jednak nadzieję, że nie przesądzi ona o dalszym jego istnieniu.

Maciej Kozłowski

Till fjälls. Rocznik Szwedzkiego Klubu Górskiego (Svenska Fjällklubben),

Szwedzki Klub Górski, członek UIAA, wydaje od r. 1929 roczną pu-

blikację zatytułowaną „Till fjälls” (Ku góróm). Drukowany w formacie nieco większym od „Taternika”, na znakomitym papierze — „Till fjälls” reprezentuje poziom edytorski przewyższający standard naszego pisma. Poszczególne roczniki obejmują przeciętnie 100 stron druku i zawierają zróżnicowany materiał — od wierszy czy fragmentów literackich, po publikacje napoły naukowe. Swym wszechstronnym charakterem zbliżają się może nieco do

„Wierchów”, ale nie brak też, choć jest ich procentowo mniej niż w „Taterniku”, znakomicie ilustrowanych artykułów ściśle alpinistycznych, zarówno dotyczących eksploracji, jak i przebiegów sportowych. Pełniejsze omówienie zawartości 38 dotychczas wydanych tomów, ze szczególnym uwzględnieniem spraw polskich, zamieścimy w jednym z następnych numerów.

Aleksander Kwiatkowski

## Notatki, ciekawostki

### Badania sprzętu wspinaczkowego

W NRF i Wielkiej Brytanii prowadzone są ostatnio rozległe prace badawcze nad wytrzymałością haków skalnych. Ustalono m. in., że słaby punkt każdego modelu stanowi kółko lub ucho, które zwykle pierwsze ulega zerwaniu. Próba zaradzenia temu złu jest wbijanie haka uchem do góry, co z kolei ujemnie wpływa na jego pracę w skale. Badania angielskie (Griffin) objęły także bardzo interesujące zagadnienie subiektywnych odczuć alpinisty, co do wartości haka wbitego przez niego w skałę. Jak wykazały liczne próby, ocenom „kiepski”, „dobry”, „świetny” można ufać w nader ograniczonym zakresie, tym bardziej, że z reguły pomijają one zupełnie techniczne walory samego haka.

### Sto lat po Stolarczyku

Pierwszym polskim taternikiem na Piramidzie Cheopsa był w r. 1870 ksiądz Józef Stolarczyk („wyszedłem na piramidę jako góral bez pomocy Arabów, których inni koniecznie potrzebowali” — zapisał w cytowanej wiele już razy „Kronice Parafii Zakopiańskiej”). Ewidencji dalszych wejść naszych taterników nie posiadamy, odnotujemy więc tylko, że we wrześniu 1967 r. na piramidę wszedł znany nasz wspinacz i podróżnik, Andrzej Mróz. Wejścia dokonał — jak pisze — przy księżycu i dlatego nie będzie mógł przedłożyć zdjęć panoramy szczytowej. Szkoda, ale i tak uwierzmy.

### W masywie Cilo

Po dokonaniu wejścia na Ararat, które relacjonuje w swym artykule M. Popko, uczestnicy prywatnej wyprawy w góry Tur-

cji udali się ok. 300 km na południe w rejon masywu Cilo.

Masyw ten (tureckie Cilo Dagħ) jest grupą górską o alpejskim charakterze, z lodowcami i szczytami przewyższającymi 4000 m, przy tym dopiero od niedawna odwiedzana przez alpinistów zagranicznych. Polski rekonesans przyniósł tu wartościowe wyniki w postaci zdobycia dwu najwyższych szczytów masywu oraz pierwszych wejść ścianami o wysokich trudnościach. Wyróżniają się 3 drogi:

Göl Dagħ (3460 m) — I wejście północno-wschodnim filarem głównego wierzchołka (V, 11 godz.), Andrzej Kuś i Andrzej Mróz, 24 VIII 1967.

Przełęcz 3450 m między Maunsell'a a szczytem 4050 m — wejście od zachodu (III, 3 godz.), Maciej Popko i Jerzy Tuszyński, 25 VIII 1967.

I przejście „Wielkiego Zacięcia” w zachodniej ścianie masywu Gelyaszin (V+, H2, 16 godzin), Andrzej Kuś i Andrzej Mróz, 27—28 VIII 1967.

Obszerniejsze omówienie pobytu polskiej grupy w masywie Cilo zamieścimy w dalszych numerach „Taternika”.

### Jubileusz J. Młodziejowskiego

W dniu 16 X 1967 r. odbył się w Poznaniu koncert symfoniczny z okazji 40-lecia pracy artystycznej Jerzego Młodziejowskiego — kompozytora, dyrygenta, kameralisty i popularyzatora muzyki, a zarazem zasłużonego taternika i badacza Tatr na polu geografii (m. in. pomiary jezior tatrzańskich). W programie wieczoru znalazły się 4 utwory J. Młodziejowskiego, wśród nich „Legenda o Janosikowej śmierci” oraz poemat wokalny „Ararat”. Warto przypomnieć, że dr Jerzy Młodziejowski jest autorem wydanego niedawno przez „Sport i Turystykę” albumu

„Morskie Oko”. Swoją drogę do Tatr i taternictwa opisał on kiedyś w poznańskim „Oscypku” (12—13/1954).

### Pozdrowienia, pozdrowienia

W lecie 1967 r. kolorowe kartki z widokami dalekich gór nadesłali „Taternikowi” m. in.: Eugeniusz Chrobak (z Pamiru), Henryk Furmanik z grupą (spod Piz Badile), Antoni Gąsiorowski z grupą (z Chamonix), Kazimierz Głazek (z Grindelwaldu), Karl Hönlmann (z gór Jugosławii), Jan Kowalczyk (z Chamonix), Maciej Kozłowski i Janusz Kurczab (z ENSA), Andrzej Kuś (spod Araratu i Cilo), Aleksander Kwiatkowski (z Rodosu), Andrzej Mróz (z Egiptu), Zbigniew Rubinowski (z wyprawy w góry Mongolii), Eugeniusz Temlak i Jerzy Jagodziński (z Wysokiego Atlasu), Bernard Uchmański (z jaskiń w Ardenach), Lech Wróblewski (z Triglavu) i Ryszard Zawadzki z grupą (z Dolomitów). Nadto Eugeniusz Chrobak (Poznań), Andrzej Paulo (Kraków) i Pierre Mazeaud (Paryż) przysłali zawiadomienia o wstąpieniu w związku małżeńskie. Dziękujemy i gratulujemy!

### 30 lat wibramu

30 lat temu — 4 i 5 VIII 1937 r. — G. Gervasutti i L. Devies (obecny prezes CAF oraz Fédération Française de la Montagne) dokonali trzeciego przejścia północnej ściany Petit Dru. Przypomina o tym Biuletyn UIAA (nr 26) nie dla znaczenia samego powtórzenia, lecz dlatego, że przy tej wspinaczce po raz pierwszy użyte zostały buty na podeszwie z twardej karbowanej gumy, od swego wynalazcy, mediolańskiego alpinisty Vitalego Bramani, nazwanej „vibram”. „Taternik” doniósł o istnieniu wibramu dopiero w numerze 2/1947 (notatka pt. „Nowy typ butów alpejskich” — s. 67), po powrocie z Chamonix ekipy Klubu Wysokogórskiego, która przywoziła w celu wypróbowania w Tatrach kilka podeszew wibramowych. Można dziś śmiało powiedzieć, że wprowadzenie tej nowości było w rozwoju alpinizmu światowego wydarzeniem większej wagi, niż zastosowanie liny z włókien sztucznych czy lekkiego karabinka.

## W skrócie

● W kwartalniku CAS „Les Alpes” (3/1967) ukazał się artykuł A. Baertschlego pt. „Montagnes d’Australe”. Jako pierwszy krok w podboju tych gór autor wymienia zdobycie w lutym 1840 r. Mount Kościuszko przez „le comte polonais P.E. Strzelecki”. Jak wiadomo, nasz rodak wszedł nie na Mount Kościuszko (2225 m), lecz na sąsiedni Mount Townsend (2205 m), który wydał mu się wyższy.

● „American Alpine Journal 1967” przynosi na stronach 417 i 418 krótkie lecz treściwe i syntetyczne podsumowanie IV Polskiej Wyprawy w Hindukusz.

● Dla uczczenia 50-lecia Rewolucji Październikowej szczególnie uroczyste ramy otrzymał XII Międzynarodowy Rajd Przyjaźni Szlakami Lenina, zakończony 24 IX.1967 r. w Poroninie, z udziałem przewodniczącego GKKFiT, W. Reczka. W imprezie wzięło udział — głównie na trasach górskich — 8670 turystów.

● „Alpinismus” nr 11/1967 poświęcony jest północno-zachodniej ścianie Civetty, na której ostatnio przybyło kilka bardzo poważnych

dróg. Artykuł wstępny napisał Piero Rossi.

● 18.X.1967 r. odbył się w Dreźnie jubileuszowy koncert słynnego chóru alpinistycznego NRD, obchodzącego 40-lecie istnienia. Chór nosi imię Kurta Schlossera, swego kierownika — alpinisty i antyfaszysty, zamordowanego w r. 1944 przez hitlerowców. Obszerną historię chóru kreśli „Der Tourist” 9/1967.

● L. Saduś i A. Trzaska wykonali kilka zjazdów 50-metrową ścianą krakowskiego „Błprostalu”, badając z polecenia władz stan kruszącej się mozaiki. Ilustrowany zdjęciami opis tej akcji zamieścił „Dziennik Polski” (30.IX.1967).

● Okrezną drogą, bo poprzez monachijski „Alpinismus” (r. 1967), dowiadujemy się, że w Tatrach bawił latem 1967 niewidomy alpinista z Holandii, Henri van den Berg, który w towarzystwie P. Vavro przechodził drogi o trudności IV stopnia.

● 30.X.1967 r. w Auditorium Maximum Uniwersytetu w Wiedniu odbył się ilustrowany przezrociami odczyt E. Vanisa o przebiegu austriackiej wyprawy w Pamir.

● Czesław Momatiuk obchodził w lecie 1967 r. 15-lecie uprawiania taternictwa. 30 sezonów letnich i zimowych, z tego ani jeden nie opuszczony. Najślabzy: gran Miedzianego.

● Prezydent Włoch, dr Giuseppe Saragat, jest alpinistą o znacznym dorobku sportowym. Wiele dróg przeszedł on ze swą obecną żoną. Należy do Sekcji Belluno CAI, blisko zaprzyjaźnionej z Klubem Wysokogórskim. Również kanclerz Austrii, dr Josef Klaus, spędza każdy urlop z czekaniem i liną. W depeszy gratulacyjnej dla OeAV napisał ostatnio: „dotrymam Alpenvereiniowi wierności i jako członek, i jako aktywny alpinista, jak tylko długo dopisze mi zdrowie”.

● Odnotowujemy kolejną zmianę w składzie redakcji dwumiesięcznika „Vysoké Tatry”. Od numeru 4/1967 redaktorem prowadzącym jest Julius Psotka, a szatę graficzną opracowuje Evzen Tolar. Redaktorem naczelnym pozostaje Frantisek Siska.

● „Wysoko nad ziemią” — to tytuł stuchowiska J. Abramowa, nadanego przez Polskie Radio w dniu 5.VI.1967, a osnutego na tle „wspinaczki” W. Niedziałka na iglicę wrocławską w r. 1947.

## Curiosum prasowe

W numerze 15 „Katolickiego Tygodnika Ilustrowanego Rodzina” ukazał się w roku zeszłym obszerny reportaż Janusza Kreczmańskiego zatytułowany „Górą nie puszcza, będziemy kopać”, a poświęcony wyprawie do jaskini Szczeliny Chocholowskiej, w której autor uczestniczył jako asystent Sergiusza Spruđina. Artykuł jest tak malowniczy, że tylko chroniczny brak miejsca powstrzymuje nas od przedrukowania go w całości. Jako próbkę wybieramy fragment części drugiej, w której J. Kreczmański odbywa prezentację poszczególnych uczestników podziemnej imprezy, przeważnie dobrych naszych znajomych. Głos ma tygodnik „Rodzina”:

CZESŁAW MOMATIUK — „Momo” literat, dziennikarz, absolwent AWF, jeden z czołówek Polskich Alpinistów. Człowiek, który podobno nie wie co to jest strach, Wchodzi tam, gdzie inni nie mogą wejść. Bardzo pracowity, miły i sympatyczny. Ma 30 lat. Pokonał wiele szczytów Europy, Ameryki, Azji i Afryki.

WALDEMAR OLECH — inżynier-mechanik, alpinista, dziennikarz. Człowiek potulny, spokojny, aż za spokojny. Ciągłe uśmiechnięty. Pracowity. Brał udział w kilku wyprawach wysokogórskich, a m. in. w jednej z wypraw polskich do Hindukuszu.

JERZY MIKUSZEWSKI — „Miki — Kardynał” — student wydziału geologicznego, dziennikarz, znany grotolaz. Jest najmłodszym uczestnikiem wyprawy. Ma 21 lat. Pracowity, miły i bardzo grzeczny. Ma lekką wadę wymowy — sepleni. Odkrył przed paru godzinami, dość blisko od biwaku wo-

dę do picia i stąd od razu nowa nazwa — „Kardynalskie Źródło”.

ZBIGNIEW JURKOWSKI — literat, dziennikarz, muzyk. Serdeczny przyjaciel „Momy”. Bardzo znany alpinista. Z jego osobą związanych jest kilka pięknych historii wspinaczkowych. Jaki on jest? — Najodpowiedniejszą charakterystyką będzie opis wydarzenia jakie miało miejsce dwa lata temu w Alpach, a które prasa światowa opisała i uznała Zbyszka za bohatera tych gór.

„...Jurkowski wraz z drugim alpinistą Witkowskim zdobywali jeden z ważniejszych szczytów w masywie Mont-Blanc. Odpoczywali na półce 300 metrów od szczytu. Zagrzali wodę w koche-rze i parzyli kawę. W tym momencie poszła nad nimi ogromna lawina. Przytulili się do ściany. Lawina poszła przez nich na dół. Jurkowski — wesolek nad wesolkami — zwraca się do Witkowskiego i prosi, aby ten mu dał kawę. Patrzy, a Witkowski wisi bezwładnie na linie ubezpieczającej. Spod rozwalonego hełmu cieknie po twarzy struga krwi. Tak samo z rozszarpanego ramienia wali krew. Jurkowski błyskawicznie porwał rękawy swojej koszuli i opatrzył prowizorycznie towarzysza. Na moment doprowadza go do przytomności. Zastanawiają się razem co dalej robić. Są dwa wyjścia. Pierwsze — to opuścić Witkowskiego na dół na linie, ale może się to udać tylko w przypadku, gdyby Witkowski mógł asekurować Jurkowskiego choć jedną ręką, gdy ten będzie schodził. Ale gdyby np. Witkowski stracił przytomność w takim momencie — obaj mają z głowy ten świat.

Jurkowski wymyśla coś innego. Przywiązuje sobie Witkowskiego

do pleców i pnie się przez dwie doby te trzysta metrów do góry. Gdy dociera do szczytu jest na granicy świadomości. Wyczerpany, głodny, u kresu sił. W międzyczasie Alpejskie Pogotowie Ratunkowe uznaje obu za zmarłych na ścianie. Przylatują helikoptery, aby ich odszukać i jeżeli będzie to możliwe zdjąć ze ściany dwa trupy. A dwa trupy są w tym czasie na szczycie i widzą jak w dole szukają ich helikoptery. Jurkowski nie ma siły na to, aby dać jakikolwiek znak, mimo, że poszukujący są od nich zaledwie o 100–200 metrów w dole. Helikoptery odlatują. Jurkowski odpoczywa. Obserwuje towarzysza, który jest w stanie prawie agonialnym. Po kilkunastu godzinach decyduje się na dalszą wędrówkę. Widząc, że Witkowski jeszcze żyje, postanawia zostawić go i biec po pomoc. Wyliczył, że gdy będzie szedł sam, to za 8–10 godzin powinien dojść do schroniska. Kiedy się już ostatecznie decyduje — zaczyna się potwornie silna zadyмка śnieżna, szczytowa. Jurkowski wraca. Przywiązuje sobie znów Witkowskiego do pleców i przez następną dobę idzie z nim po ścianach w stronę schroniska. Dochodzi i pada z wyczerpania. Przez tydzień przebywa w szpitalu. Po wyjściu zapraszany jest do wielu towarzystw alpinistycznych, gdzie przyjmowany jest jako człowiek-legenda. Uratował dwa życia — swoje i Witkowskiego.

A jeśli ktoś ciekaw, jak alpejska przygoda Jurkowskiego i Nowackiego („Witkowski”) wyglądała naprawdę, niech sięgnie do „Taternika” 1-2/1964, gdzie opowiada ją sam Jurkowski w artykule „Na filarze Croza”.

# Taternik

Organ Polskiego Wyzokogornego Kluba  
Organ of the Polish Mountaineering Club  
Revue du Club Polonais de Haute Montagne  
Organ des Polnischen Bergsteigerklubs

Tom, volume, Jahrgang: XLIII (1967), No 4(197). Redaktor, editor, rédacteur: Józef Nyka.  
Warszawa 36, ul. Nowosielecka 20 m 18. Tel. 41-07-97 (Pologne).

## SUMMARY

- The 60th Year (*by the Editor*) . . . . . 145  
With this issue „Taternik” closes the 60th year of its existence. The first number was published in 1907.
- Chochłowska Szczelina Cave, 1966 (*P. Burchard*) . . . . . 146  
An expedition of the Klub Wysokogórski led by P. Burchard spent 14 days in the undergrounds and explored 800 m of new passages. Three physicians have made important biological, medical and psychological studies.
- Pik Kommunisma form the Ordschonikidse Glacier (*G. I. Shalayev*) . . . . . 149  
A Russian expedition led by A. A. Kustovskiy made an ascent of Pik Kommunisma by a new and difficult route on its east face. The summit was reached on August 22. The climb won the prize for the most difficult climb above 5000 meters of the year 1967.
- Pik Lenin, 1967 (*S. Biel*) . . . . . 151  
Seven Polish members of the great Pamir-Alpiniade 1967 climbed Pik Lenin by two different routes. The leader of the Polish party was S. Biel.
- On the Great Ararat, 1967 (*M. Popko*) . . . . . 155  
The second Polish ascent, the first was made in 1850 by J. Chodźko with Russian soldiers.
- High Atlas. In the West Face of the Tete d'Ouanoums (*E. Temlak*) . . . . . 157
- What's New in the Mont Blanc Area in 1967? (*M. Kozłowski*) . . . . . 159
- New Route on the Droites (*J. Kurczab*) . . . . . 160
- M. Kozłowski and J. Kurczab, two Polish participants of the Internationale Alpine Meeting at ENSA, made the first ascent of the unclimbed pillar of the northeast face of the Droites (4000 m). The climbing started on July 27, the summit was reached in the second attempt on August 3 (900 meters, Grade V<sub>+</sub>, mixed climbing).
- Petit Dru — „Directe Nord” (*A. Paczkowski*) 163
- Finsteraarhorn in the Bernese Oberland by the nordeast buttress (*K. Zdzitowiecki*) . . . . . 164  
On August 19, 1967, autor made with K. Głazek an important variation on the standart route, some 150 meters under the top.
- Polish Mountaineering in the Tatras in Summer 1967 (*J. Kurczab*) . . . . . 167
- Cima del Burel form the Southwest (*R. Zawadzki*) . . . . . 170  
The 1300-meters-high southwest face of Cima del Burel (Dolomites, Schiara) was first climbed by a Polish-Italian team consisting of R. Bebak, J. Fereński, J. Brudny, G. Garna, G. Gianniselli, J. Junger, K. Liszka, A. Trzaska and R. Zawadzki (leader). The climb was divided into two phases: at first the ascent of the upper part (from August 15 to 19) and than the ascent from bottom to top (between August 21 and 25). 120 pitons and some bolts were used, but the ascent was for the most part free climbing.
- The Autumn in Sokole Góry rockies (*B. Janowski*) . . . . . 172
- Juliusz Zborowski in memoriam (*Z. Wójcik*) . 173  
J. Zborowski (1888–1966) was director of the Tatra Museum at Zakopane. He was the

best expert in the history of the Tatras and in the mountaineers folklore.

New Routes in the Tatras - 175. Skiing - 176. Caning - 177. Club Activities - 178. The Tatra National Park - 180. Accidents, Mountain Rescue - 183. Books and Publications - 185. Notes and News - 188.

### SOMMAIRE

Dans la cave „Szczelina Chochołowska" en 1966 (P. Burchard) . . . . . 146

Une expédition en février 1966 a découvert 800 m des galeries nouveaux.

Pic Communisma, face est (G. I. Shalaev) . 149  
Une expédition soviétique dirigée par A. A. Kustovski a réussi l'ascension du Pic Communisma par une voie nouvelle - le pilier gauche de la face est.

Les Polonais dans le Pamir, 1967 (S. Biel) . 151  
Tete d'Ouanoums par la face ouest (E. Temlak) 157

L'été 1967 dans les Alpes (M. Kozłowski) . 159

Les Droites - l'éperon oriental (J. Kurczab) . 160  
M. Kozłowski et J. Kurczab ont ouvert le 27 et 28 juillet et le 3 août une voie nouvelle dans la face nord-est par l'éperon oriental. Très bel itinéraire en terrain mixte, TD, 900 m de dénivélé. Escalade généralement libre. C'est sûrement la plus belle première qui ait été réalisée dans le massif de Mont Blanc par des alpinistes polonais.

Finsteraarhorn, pilier nord-est (K. Zdzitowiecki) . . . . . 164

L'été 1967 dans les Tatras (J. Kurczab) . . 167

Dolomites - Cima del Burel (R. Zawadzki) . 170  
Première ascension de la face sud-ouest de Cima del Burel par une équipe italo-polonaise du 25 août 1967. Voie de 1300 m de hauteur, VI<sub>+</sub>, 120 pitons, beaucoup d'escalade libre.

Fin de saison dans les rochers (B. Jankowski) 172

Juliusz Zborowski (Z. Wójcik) . . . . . 173  
Zborowski (1888-1966) consacra toute sa vie à l'étude ethnographique de Podhale et de l'histoire des Tatras.

Nouveaux itinéraires dans les Tatras - 175. Les ski - 176. Speleologie - 177. La chronique du Club Po-

lonais de Haute Montagne - 178. Les accidents de montagne - 183. Livres et revues - 185. Notes diverses - 188.

### INHALTSVERZEICHNIS

60 Jahre „Taternik" (Schriftleitung) . . . . . 145

In der Höhle Chochołowska Szczelina, 1966 (P. Burchard) . . . . . 146

Der Grossen Sozialistischen Oktoberrevolution zu Ehren (G. I. Schalajew) . . . . . 149

4 ukrainische Bergsteiger erreichten am 22 August 1967 den Gipfel des Pik Kommunisma über eine neue Route.

Pik Lenin 1967 (S. Biel) . . . . . 151

Grosser Ararat - auf den Spuren von Noe und Chodźko (M. Popko) . . . . . 155

Sommer 1967 um Mont Blanc herum (M. Kozłowski) . . . . . 159

Als Erstbegeher auf dem Droites-Pfeiler (J. Kurczab) . . . . . 160

J. Kurczab und M. Kozłowski - zwei polnische Teilnehmer des ENSA-Bergsteigertreffens 1967 - haben die Erstbegehung des linken Pfeilers der Droites-Nordostwand vollbracht. Wandhöhe 900 m, V<sub>+</sub>, 27-28 VII. und 3.VIII.1967.

Petit Dru - „Directe Nord" (A. Paczkowski) 163

Auf dem Nordostpfeiler des Finsteraarhorns (K. Zdzitowiecki) . . . . . 164

K. Glazek und K. Zdzitowiecki wiederholten die Route und haben einen direkten Ausstieg eröffnet (18-19.VIII.1967).

Der Sommer 1967 in der Tatra (J. Kurczab) . 167

Dolomiten - Cima del Burel, 1967 (R. Zawadzki) 170

Erfolg der polnisch-italienischen Mannschaft an der berühmten Südwestwand (1300 m hoch). In den Tagen von 15. bis 19. VIII. wurde die obere Wandhälfte durchstiegen, danach folgte die vollständige Durchsteigung (21. bis 25.VIII.1967). Von den 120 Hanken wurden 70 belassen.

Herbst im Klettergarten (B. Jankowski) . . 172

Juliusz Zborowski in memoriam (Z. Wójcik) 173

Neue Führen in der Tatra - 175. Höhlenforschung - 177. Aus dem Klubsleben - 178. Der Tatra-Nationalpark - 180. Bergunfälle und Bergrettungsdienst - 183. Schriftenschau - 185. Kurze Informationen - 188.



Widok ze Strzeleckiej Turni ku zachodowi Od lewej: Nowocześnie Turnie, Rogata Turnia, Staroleśna, Baniasta Turnia i Mała Wysoka. W głębi Gierlach.

Fot. Ryszard Ziemak

## T A T E R N I K

Rok założenia 1907

Organ Klubu Wysokogórskiego poświęcony sprawom łaźnictwa, alpinizmu i speleologii.

**Redaktor:** Józef Nyka, Warszawa 36, ul. Nowosielecka 20 m 18

**Zastępca redaktora:** Jan Staszek, Warszawa, ul. Franciszkańska 14a m. 7

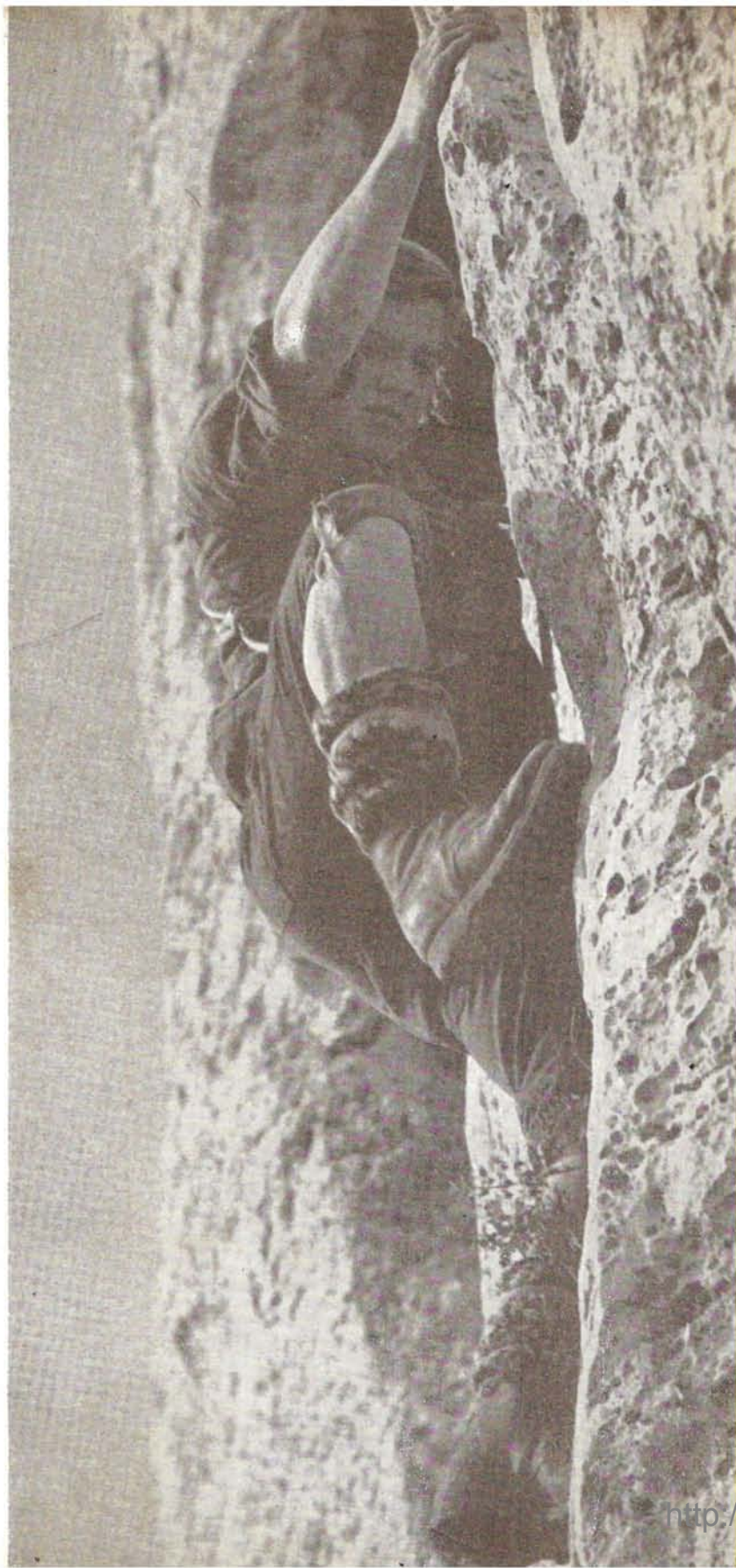
**Komitet Redakcyjny:** Ryszard Gradziński, Władysław Manduk, Ryszard W. Schramm, Jan Alfred Szczepański i Piotr Żółtowski.

**Adres redakcji:** Warszawa 36, ul. Nowosielecka 20 m, 18, tel. 41-07-87.

**Adres Klubu Wysokogórskiego:** Warszawa, ul. Sienkiewicza 12 p. 439, tel. 26-69-56.

**WARUNKI PRENUMERATY.** Cena prenumeraty: półrocznie – zł 20, rocznie – zł 40. Prenumeraty przyjmowane są do dnia 10-go miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Prenumeratę na kraj dla czytelników indywidualnych przyjmują urzędy pocztowe i listonosze. Czytelnicy indywidualni mogą wpłat dokonywać na konto PKO nr 1-6-100020 – Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „RUCH” – Warszawa, ul. Wronia 23. Wszystkie instytucje państwowe i społeczne mogą zamawiać prenumeratę wyłącznie za pośrednictwem oddziałów i delegatur „RUCH”. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki zagranicznej, która jest o 40% droższa od krajowej, przyjmuje Biuro Kolportażu Prasy i Wydawnictw „RUCH”, Warszawa, ul. Wronia 23 – konto PKO nr 1-6-100024, tel. 20-46-23. Egzemplarze archiwalne można nabywać (zamawiać) w redakcji, biurze Klubu Wysokogórskiego lub w Punkcie Wysyłkowym Prasy Archiwalnej „RUCH” – Warszawa, ul. Nowomiejska 15,17 na miejscu lub na zamówienie za zaliczeniem pocztowym.

**WYDAWCA:** RSW „Prasa” Wydawnictwo „Prasa Sportowa” – Warszawa, ul. Siewierska 13. Telefony: Dyrektor – 22-27-23, Wydział Wydawniczy – 21-12-04, Sekcja Ogłoszeń – 22-42-39. Cena ogłoszenia 1 cm<sup>2</sup> 10 zł. PZG RSW „Prasa”, W-wa, Al. Jerozolimskie 155. Zam. 2974. T-68



WYDAWNICTWO „PRASA SPORTOWA” RSW „PRASA”

CENA ZŁ 10